



SAVITRI
POEZYE

(Zahorska, Anna 1882[?]-1942)

SAVITRI



POEZYE



Mod. 1

WARSZAWA

GEBETHNER I WOLFF

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1908

CZYTELNIA
OGÓLNA



355164

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0389942

RZEŻBY Z LAWY

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

1 SAVITRI. POEZYE.

K134112013

3620

A kogo ukocham, to raj mu otworzę,
gdzie będą świetliste jutrzeńki i zorze,
gdzie róże i mirty nas cicho owioną...
Skoń jego ozdobię złotą koroną,
on będzie mym królem i duszy mej panem,
owładnie królestwem cudownem, świetlanem.
Ja zbudzę mu w piersi drzemiące orkany,
dam taką potęgę, że zwalczy tytany,
że tłumy podźwignie wszechmocnym ramieniem
i łunę pożaru zagasi swem tchnieniem!

Tak mocno wiem, że kocham ciebie,
tak mocno wiem,
i wiem, że jesteś prawdą żywą,
a nie rozwiewnym snem...
Znam ciebie nie przez woal marzeń
lub złud motyli rój —
znam przez wytrwania wolę twardą,
przez ból surowy mój.
Znam cię przez wolność, szybującą
nad dobrem i nad złem. —
Tak mocno wiem, że kocham ciebie,
tak mocno wiem.

Ma miłość bezbrzeżna, bezbrzeżna, jak morze,
i szumi, i rwie się, i rwie, jak ocean,
i gubi się w dalach, w nieznanym przestworze,
i szumi, i szumi bezsłowny swój pean.

I dziwne tajnice skrywają jej wnętrza:
konch barwnych, koralu i pereł skarbnice...
Ma miłość, jak morze: w szale fali się spiętrza,
i cichnie... Na wodach igrają ognice.

I świeci się morze — mięczaków miryady
lśnią światłem bajecznym, przezroczo-zielonem,
a w głębi się roją potwory i gady,
a otchłań jej grozi zniszczeniem i skonem.

Ma miłość, jak morze, jak morze-tęsknica,
jak wieczny nieukój, jak wieczny ocean,
którego dna nigdy nie sięgnie kotwica...
I szumi, i szumi bezsłowny swój pean.

Śnieżystem ramieniem oplotę ci szyję,
wargami w twe wargi się wpiję,
przedziwny aromat mych ciemnych warkoczy
twa wolę opęta i pamięć zamroczy.
pozwolę ci słuchać, jak pierś mi oddycha,
w ramionach twych usnę, marząca i cicha.
Otworzę przed tobą ekstazy podwoje,
nieziemskiej rozkoszy cię szaleńcem upoję
i krzyknę ludzkości kłębiącej się masie,
że dwoje nas tylko w przestrzeni i czasie!

Czystszy nad śniegu białość,
nad źródła nurt tak czysty,
nad pereł doskonałość
całunek twój ognisty.
W liliowej swej słodyczy
cud nad cudami ziszcza,
jak płomień ofiarniczy,
co spala i oczyszcza.

W rozkoszy jasnem mgnieniu
przy tobie zapominam
o starem mem cierpieniu —
nie szydę, nie przeklinam —
i tylko kornie, długo
komunię z ust twych biorę,
a szczęście złotą strugą
w me serce wpływa chore.
Zakwita darń mogilna,
gromnice żółte gasną...
Twym ustom — zdrowa, silna —
dziękuję cicho, jasno...

Wszystkim gorąco miłowanym
dawałem dary, dary klęte...
Najprzód — cierpiącym i znękanym
lilije marzeń wniebowzięte,
ziarna przekwitłych mych nadziei,
by w nich puściły bujne kielki;
w czarze płomiennej orchidei
dawałem nektar oszołomień;
myśli, nizanych, jak perełki,
rzucałem ciężkie, drogie sznury,
rzucałem jasnej ciszy promień,
dawałem barw na szare płótna,
kładałem królewskiej blask purpury
na samotnika czole bladym...
A tobie dałem, ty przesmutna,
z moich męczeńskich łez dyjadem.

A gdyś klękał przede mną, jak przed świętym ołta-
[rzem,
gdy na czole mem załśnił twej miłości dyjadem,
na mem czole posępnem, bezmiłosnem i bładem:
wtedy byłam żebraczką, a ty byłeś mocarzem.

Serce mię boli, głowa mi płonie —
z tęsknotą straszną wyciągam dłonie
ku tobie, cudna wizyo wcielona...

Pomiędzy nami — czarna zasłona...

W niewysłowionej, obłędnej męce
słowa wstydlive, białe, dziewczęce
szepcę ku tobie, łuną oblana...

Pomiędzy nami — niewidna ściana...

O, twoje oczy, dalekie oczy!...
Niech nas szalony uścisk zjednoczy!
Rzucam się — weź mnie... Coś znów odtrąca...

Pomiędzy nami — otchłań ziejąca...

MISTERYUM MIŁOŚCI.

A gdy ten, który gwiezdny wyrokiem
przeznaczony mi był przed wiekami,
pozostawił mnie z pustką i mrokiem,
bezwrotność zawiesił nad nami —

wtedy chciała dłoń miękka pieśniarza
zaczarować zerwanych strun płacze,
i odegnąć to zło, co zagraża,
ukołysać nieludzkie rozpacz.

On żywioły chciał we mnie rozpętać,
brał w ramiona swe, szaleńcem kipiące,
chciał mnie uspić, mój ból zapamiętać,
włożyć w całunki upojne, gorące.

Noc szumiała za oknem jesienna,
uderzały po szybach gałęzie...
Rozszała twa miłość płomienna
pochwyciła mnie w pieszczot uwiezie.

Ja cierpiałam... Nie mogły całunki
zakryć oczu na ciężkie widziadła,
wtedy dłoń twa, dłoń dobrej piastunki,
współczująco na czole się kładła.

Stary kasztan za oknem coś szeptał...
a tyś cichą oplatał mnie mową:
— Przeznaczenie on złamał, podeptał, —
ja cię zbudzę do życia na nowo!

— W trumnie-bólu, zaklęta królowo,
śpisz głęboko. Lecz męki mej siłą
zdejmę z ciebie moc straszną, kłętwną:
przeznaczenie się we mnie wcieliło!

— Na mnie zło rozpętane się skruszy,
ciebie puści, nie pójdzie już dalej...
A ten ból bezgraniczny twej duszy
w brylant piękna się we mnie skryszkali.

— Kornie przyjmę tę miłość przesmutną,
jak ożywcza dla spiekłych warg rosę,
błogosławię jej mękę okrutną,
odkupienie dla ciebie w niej niosę!

II.

Uśmiechała się cicha i blada...
Serce boli, rozszerza się, rośnie,

głowa coraz bezsilniej opada...
Coś jęknęło... Wiatr pień złamał sośnie.

Serce rośnie i kipi, jak warem,
rwie się, krzyczy i pierś aż rozrywa...
Burza wstrząsa domostwem prastarem,
skiby chmur błyskawica zorywa.

Już nie może... Tak boli, tak pali,
krwi szaleństwem się wszystko spłomienia.
Serce prosi o dobry chłód stali,
serce prosi o chwilę wytchnienia.

Czarną suknię rozchylił powoli,
białą pierś z obłąkaniem odsłonił...
Pchnął nóż w serce... Niech nie drży, nie boli...
Deszcz o szyby ponurą pieśń dzwonił.

Wichr szaleje... Dom drży, gną się drzewa...
I, jak wiatr, pieśń się zrywa szalona:
pieśniarz stoi nad trupem i śpiewa:
— Nie uśpiły cię moje ramiona,

— lecz cię uśpił litosny chłód noża —
oto wieko przeznaczeń zapadło... —
Leci wiatr, leci wiatr na bezdroża,
w takt z nim płasza za oknem widziadło...

Walc płacze —

I wzięłeś mnie w twe czyste i chłodne ramiona,
Ucieleśniony szął — wichr — błyskawicę —
I czułam, że krwi burza we mnie cichnie, kona,
Że skuwają mnie twojej czystości martwice.

I płakał walc nade mną —

Szalonem pragnieniem
Rozełkana, w cudownej zapomnień ekstazie
Tęskniłam za twem jednym żywym, ludzkim drgnie-
I strzaskałam mą wolę na twojej woli głazie. [niem

Walc płacze —

Oto we mnie moc niepokalana,
I nigdy się nie schyli upojenia kruża,
Nie zamknie się na chwilę nigdy pamięć-rana,
Nie rozszałeje nigdy we krwi jasna burza.

Walc płacze...

O przyjdź! bo ból mój bezlitosny
pierś moją chorą zgnie, rozdepcze...
Za oknem skrzypią stare sosny,
topola smutno, cicho szepcze.

O przyjdź! bo straszny jad choroby
krzyknie mi zatrat anatemy...
w przestworach świecą srebrne globy,
spokój w nich głuchy, spokój niemy.

O przyjdź! bo dusza ma upada,
bo w tobie siła i zbawienie...
Szemrze w poświacie gwiazd kaskada
i łkań akordy w ogród żenie.

O przyjdź! niech dziki krzyk tęsknicy
przebija dal, jak ostra spisa...
na opalowej, hań, mgławicy
milczenie wieczne, głuche zwisa...

W KLASZTORZE.

Błado lampka błyska,
Pusto, mroczno w celi...
Pierś tęsknota ściska,
Próżno anioł w bieli
Z ciemnych ram wygląda,
Wznosi dłoń nade mną...
Dusza pragnie, żąda —
Czego? — W celi ciemno,
Ziemia śpi zmęczona —
Chrystus z krzyża wyciąga ramiona.

Burza, szął w mem łonie,
Drzą mi wszystkie tętna,
Aż rozrywa skronie
W mózgu myśl namiętna —
Chcę rozpalić wargi
Pocałunków sząłem...
Patrzy wzrokiem skargi
Anioł z skrzydłem białem.



Duch mój rwie się, kona —
Chrystus z krzyża wyciąga ramiona.

Czuję lekkie tchnienie,
Czuję czyjeś usta —
Wokół sen, milczenie,
Cela czarna, pusta...
Och, stopić łzy, jęki,
Tęsknot chłód mogilny,
Pragnień straszne męki
W uścisk długi, silny...
Chwilo upragniona!
Chrystus z krzyża wyciąga ramiona.

Oto wizya ducha:
Postać w blaskach cała
Moich wyznań słucho,
Ze mną drży i pała...
Cudna! Mnie zachwyca
Wizya z barwnej tęczy —
Twarda włosiennica
Ciała już nie męczy...
Szczęście wzbiera, rośnie...
Chrystus patrzy litośnie, litośnie.

LOHENGRIN.

W łabędziej łodzi Lohengrin odpływa...
W cichej tęsknocie pluszczą fale Renu...
Z kruzganku słucho Elza nieszczęśliwa
pieśni ostatniej, milknącej refrenu...

W łabędziej łodzi Lohengrin odpływa...
Szmaragdy winnic stroi wschód w promienie,
w komnacie srebrna lampa dogorywa...
Jeszcze nie przeszło pieszczot upojenie...

W łabędziej łodzi Lohengrin odpływa...
W dali konają bezmowne rozpacz...
Elza złotogłów na piersi rozrywa,
nad bezpowrotnem łzami męki płacze...

W łabędziej łodzi Lohengrin odpływa...
Cichym szelestem topole się żalą...
Zasłona lekka, złota, migotliwa
płynie za łodzią, kołyszając się z falą.

W łabędziej łodzi Lohegrin odpływa...
Głębie zapomnień spije z Grala czary,
głębia zapomnień woła, głębia wzywa...
Nad bladą Elzą płaczą nenufary...

A kiedy bezmiar uśpi moją mękę,
Gdy męt jej zniknie w wielkich cisz przezroczy,
Ty przyjdiesz do mnie — i położysz rękę
Na moje oczy, na umarłe oczy.

Gdy ma świadomość w bezkresie utonie,
Gdy, jak zwycięzca, spoczne po szermierce —
Ty przyjdiesz do mnie — i położysz dłonie
Na moje zimne, na zabite serce.

Gdy się rozwieją lilii aromaty,
Gdy na chryzantem bieli oschną rosy —
Ty przyjdiesz do mnie — i położysz kwiaty
Na moje ciemne, na rozwiane włosy.

Kiedy łabędziej pieśni przebrzmia dźwięki,
Kiedy przeczumią tęsknoty orkany —
I oczekiwań zamrą już udręki —
Wtedy ty przyjdiesz — ty — oczekiwany.

Gdy bezpowrotność zacięży niezłomnie,
Kiedy powiedną chorych snów rezedy —
Wtedy ty przyjdiesz, znowu przyjdiesz do mnie —
I powiesz — co ty powiesz do mnie wtedy?

To było dawniej... Liczyłam dnie,
i chwile, i godziny,
chodziłam cicha, niby w pół-śnie,
przez pól dalekie ścieżyny,
i spoglądałam w sinawą dal,
w dal mglistą, niedościgłą,
wiatr zrywał z głowy jedwabny szal
i chłostał postać śmigłą.
Daleko — w przestwór wybiegał wzrok
nieukojojonej tęsknicy,
wieczór przychodził, zapadał mrok,
i do mej pustej świetlicy
wracałam — znowu skończony dzień,
co nie był dniem powrotu
i cudotwórczych nie przyniósł tchnień,
nie zerwał mąk opłotu.
I w zimnem łożu w bezsenną noc
czekałam, aż znów nastanie
dzień, co przyniesie i czar, i moc,
i złotych zórz świtanie.

Twe serce, jak bezkrwawa, bezgłośna ofiara,
skonęło w moich rękach... Pochowałam w sobie
to serce. Wzrosła nad niem tulipanu czara,
piję z niej gorzką rosę wspomnienia na grobie.

Kłęcząc na czarnym grobie, ze smętnego kwiatu
jady bezpowrotności zwolna, cicho sącze...
Nie mogę wyrwać z siebie twych męczeństw szkar-
[łatu,
choć radość gra we mnie, że już słodkie pnącze

nie krępują mych ramion, że wola ma butna
może znów rwać się w bezmiar, budzić dziwne moce,
choć we mnie jest mogiła nieskończenie smutna,
i jest w niej jedno serce umarłe, sieroce...

Zakaz stał między nami... W nim uczucia zwiędły
niby zielska stepowe w słonecznym pożarze,
złe ręce w pajęczyny szare nas oprzędły,
została — gorycz wspomnień w tulipanu czarze.

Drży tulipan bezwonny na czarnej mogile...
Mój ugór ozłociły szeleszczące kłosa,
odradzam się w potęgę, młodości i sile,
a tulipan wciąż sący gorzkie krople rosy...

JUŻ TYLKO PRZYJACIELOWI...

Ja posyłam ci płatki obumarłe, bolesne,
a w nich wspomnień aromat nieuchwytny, przesłodki:
snów wiosennych lewkonie, fioletowe bzów baśnie,
blade tęsknot konwalie i nadziei stokrotki.

Ja posyłam ci płatki obumarłe, zawiedłe,
aby w innym ogrodzie znów zakwitły ci wiosną,
kielichami pełnymi, rozkwitłymi z pąkowania,
zadzwończyły pieśń jawy, przepotężną, radosną.

Ja posyłam ci z dali ciche tęsknot godziny,
księżycowe sny moje o królestwie dni słońca,
ja posyłam ci myśl mą, co wśród dzikich gąszczarów
nowe drogi toruje — myśl mą — promień, myśl — gońca.

Ja posyłam ci moje przemęczenie kamienne,
aby z niego wykwitło twoich czynów zarzewie,
ja posyłam ci moje lazurkowe ekstazy,
zapamiętań rozkosze w wonnych lilii ulewie.

Ja posyłam ci szczęście wyrzeczenia najświętsze,
i tę siłę ofiarną poświęcenia bez granic,
i wszechpotęg najwyższych tchnienie harde, wichrowe,
zdzierające płaszcz borów, rwące głązy krzesanic!

Ja posyłam ci miłość, czystą miłość wszechświata,
z wszechprzebaczeń komunią — wieczną miłość kolosu,
która tworzy nad siebie — i dla swoich ukochań
nie obawia się żadnej zbawczej męki ni ciosu.

Ja posyłam ci z ducha najtajniejszej skarbnicy
okrzyk twórczej potęgi, nieśmiertelny, przedwieczny,
hymn radości i życia, młody pean zwycięstwa,
śpiew żniwiarza i siewcy, rozmodlony, słoneczny.

Ja posyłam ci wszystkie me klejnoty niewidne:
dyadem, berło i bezlik drogich tkanin i błamów,
a nic wzamian nie żądam, o nic prosić nie zechcę,
i bez żalu roztrwaniam przepych moich sezamów.

Ja posyłam ci z dali troskę czujną, serdeczną,
serce siostry, na wieki zaprzysięgłe i wierne,
ja posyłam ci grzmiący wszechgłos z siebie, ze świata:
filigrany przeszłości, pajęczynne, misterne,

chwili mosty tęczowe i przyszłości mgławice,
hieroglify zachodu, wschodu znaki runiczne
i, by obmyć wędrowny kurz i znój z twego czoła,
ja posyłam łzy moje — łzy siostrzane, kryniczne...

Ty odchodziłeś ode mnie w noc letnią,
w cichą noc, szepczącą baśnie gwieździste,
i unosiłeś ze sobą na wieki
miłowanie moje mocne, przeczyste.

Ty odchodziłeś ode mnie w noc letnią,
gdy ci z ognia serdecznych splotłam dyadem,
za tobą wionął zapach rezedy,
za tobą poszła tęsknota ma śladem.

Ty odchodziłeś ode mnie w noc letnią...
Bzy zaszumiały żałosną eklogą...
Ty unosiłeś skarb szczęścia ze sobą,
co opromienić już nie miał — nikogo...

Ty odchodziłeś ode mnie w noc letnią,
pieszczącą ciepłym powiewem, godową,
i pochyliła się po raz ostatni
wonna gałąź lipy tobie nad głową...

O północnej, bezsennej godzinie,
Kiedy księżyc wysrebrza aleje,
schodzą ku mnie ze wspomnień tajemicy
dni umarłych, przeżytych dni dzieje.

I ja śnię, że przychodzisz znów do mnie
o północnej godzinie bezsennej,
i że pierś ma znów pełna potęgi,
i że skroń znów łśni w glori promiennej.

I ja śnię, że przychodzisz znów do mnie,
w silną dłoń bierzesz drżące me palce,
w jasnych oczach przynosisz wytchnienie
po męczarni, rozterce i walce.

I ja śnię, że przychodzisz znów do mnie,
o bezsennej godzinie północnej,
znak rozgrzeszeń na czoło mi kładziesz —
pocałunek miłości wszechmocnej.

I ja śnię, że przynosisz mi znowu
kwiecie białe z różowem w połowie,
które kwitło pod oknem twym w lecie
i »złamane serduszka« się zowie.

Tyś mnie zatruć niezdolny, choć trująca twa czara,
tyś mnie zabić niezdolny, chociaż pchnąłeś w pierś

[ostrze —

to mnie truje mój przesyt i rozpaczna niewiara,
własna niemoc nade mną skrzydła śmierci rozpostrze.
Z nożem w sercu żyć można — i z płynącym w krwi

[jadem,

można sztandar ocalić, chociaż złamają się drzewce —
jeślim chora śmiertelnie, to mym własnym bezwładem,
własne zło mojej duszy widzę w świata soczewce.
Czemże byłeś? Wszak jeno kształtem twórczej mej

[woli.

Czemże jesteś? Wszak jeno jej bolesnem złamaniem.
Z nożem w sercu żyć można, nie zabija, co boli —
szczęście w sercu umiera własnem serca konaniem...

Dal woła dobra, dal pogodna,
oto od ciebie już odchodzę,
a jakom przyszła, idę głodna,
nie błogosławiąc twojej drodze.
Nie uciszyłeś z tęsknot żadnej,
nie osuszyłeś łez goryczy,
nie wsparłeś myśli mej bezwładnej,
nie chciałeś w błękit bezgraniczy
ze mną ulecieć dumnym szlakiem,
twój skarbiec dla mnie bywał pusty,
gdym ja cierpiała wielkim brakiem,
tyś zbierał miód chciwymi usty.
I nie wiem, czyś był za ubogi,
czy skąpy dla mnie, — lecz po tobie
został popielny ślad pożogi,
została cisza, jak na grobie.
Puchar mej wiosny, dar ochoczy,
spełniłeś w krótkiej chwili do dna...
Odchodzę. We łzach moje oczy,
i jakom przyszła, idę głodna...

Co noc w gwieździsty patrzyłam strop,
oparta na balkonie...
Cicho, spokojnie spał cały glob,
męka nie spała w mem łonie.
Wiły się w cieniu w dziwaczny wzór
balkonu arabeski,
szumiał, szeleścił drzew cichy wtór,
skrzypiały okiennic deski,
i odbywała wraz ze mną straż
miłość ma wielka, czysta,
i przed mym wzrokiem twa droga twarz
stawiała wyrazista.

BAJADERKA.

Opadła zasłona,
w wir rzucam się tańca,
bezwolna, szalona...
Bez granic, bez krańca —

puch lekki — wiruję...
Migocą szat wstęgi...
Ja zmysły wczaruję
w taneczne me kręgi.

Wychylam się biała
z muślinu przezroczy —
aromat, czar ciała
upaja i mroczy.

W mych ramion sprężeniu
krzyk władnej potęgi —
w tysiąca żądz drgnieniu
zataczam me kręgi.

Mych włosów wichura
krew w ogień rozsmaga,
i spojrzeń purpura
w ślad pójdzie, zabłąga...

Krucz żrenic bezdenna
zamarzeń ma raje:
w nich żarów gehenna,
w nich ekstaz ruczaje.

Ja tańczę — i dyszę
rozkoszą i szaleństwem,
jak palma, kołyszę
wysmukłem mem ciałem.

Spojrzenia błagały,
spojrzenia — pożogi:
jam sobie tłum cały
rzuciła pod nogi.

O krótki błysk-edem
szept błagał ognisty,
a tylko — on jeden
stał chłodny i czysty.

Na jego biel śnieżną
patrzyłam — i bladłam...
z miłością bezbrzeżną
do stóp mu upadłam.

MNISZKA.

Do pokutniczej, wąskiej mojej celi
wchodzą smugami księżycowe blaski.
Z ciemnych ram patrzą święci i anieli
z twarzą promienną, pełną cichej łaski.

.....
Otwieram okno na noc. Tam po celach
milkłą litanii szmery monotonne.
Nad moją chłodną, obumarłą duszą
gwiazdy zaczęły srebrzyste podzwonne.
Kiedyś, w noc taką, gwiezdą, księżycową,
wizyjną, pełną wyśnionego czaru,
krzyk przeogromny zabrzmiął w krwi huczącej,
aromat przeczuć powionął z bezmiaru.
I rozetkało się we mnie pragnienie...
Kiedyś w noc taką, gwiazdami grającą,
męskie ramiona na pierś mnie garnęły
w zapamiętaniu, bezwładną i drżącą.
I wszystkie męki, rozkosze i szaty
błysły nade mną krwawym meteorem

i potępieńczą rozciągnęły władzę
nad sercem słabem, nieopornem, chorem.
Przedziwną słodycz daje rozkosz ciała,
szczęście upojne daje siła wraza,
lecz wolnam od niej. Wygasał żar nieczysty
u stóp zdobnego liliami ołtarza.
Przyćmiły blaski, zwiały pył jaskrawy
długie pokuty, bezlitosna chłosta.
W ciche organów hymny zasłuchana,
stałam się biała, niewinna i prosta.

.....
Wciągam w me płuca tęskne bżów westchnienia
i jaśminowych zapachów balsamy...
Nagle przychodzą z wonią gdzieś z oddali
dawnego życia szczęście, ból i plamy.
Budzi się z dzikiem, przeraźliwym łkaniem
to odrzucone, to zabite życie,
o podeptane prawo szatu woła:
rwie się, trzepocze, wznosi pierś w habicie...
O, życie całe, przynoszące w dani
zmurszałe liście i zielone wicie,
życie trujące zła i pragnień kłatwą,
życie kipiące — życie — wróć — o życie!...
.....
Tajnych, zawrotnych wspomnień aromaty
niepokonaną zmagają mnie władzą —
z twardej pościeli, z pokutniczej celi
czarem wywiodły mnie — i w dal prowadzą.
Idę przez ciche, operlone pola,
idę przez ciemne, szeleszczące haszcze,

zbieram ostróżki, jaskry, koniczyny,
a wiatr mnie wonią wita, lekko głaszcze.
Wchodzę po drodze do wsi, w ludne miasta,
patrzę na śnione piękno i przepychy
i chcę ich pragnąć, lecz się nie otwiera
przybytek duszy mej lodowy, cichy.
I zbudowałam uciech gmach tęczowy
na podwalinie rozłamanej kraty,
ciało zamarte, ascetycznie — smukłe
oblokłam w szkarłat, złoto i brokaty —
do skocznych tanów rozzwoniłam zele,
zatarłam pamięć krwawych męki znamion
i przyciągnęłam tajemniczą mocą
tęsknotę drżących, oszalałych ramion.
I próżno nawet po grzech i zło sięgam,
by pokutniczej bieli skruszyć pęta,
aby kipiącem życiem znów rozszaleć —
cisza wciąż we mnie — bezgrzeszna i święta...
.
O bądź przeklęta, ciszo, bądź przeklęta!

Ust twoich młodych kielich rubinowy
niech mnie ominie,
niech się nie stopi myśl — kryształ lodowy
w pianistem winie.
Jam łąn bezpłodny: złotego ci snopu
nie rzucę w darze.
Jam skuta rzeka: nie pragnę roztopu
w wiosennym żarze.
Nie podchodź: łatwo runąć z gór w parowy
groźnej lawinie...
Ust twoich młodych kielich rubinowy
niech mnie ominie.

KRZYK ŻYCIA.

Pracuję... Dzień mnie oplótł
w szare, niewidne sieci...
Gniewa się matka chora,
kłóć się małe dzieci...

Palce bolą, sztywnieją, ciężka chyli się głowa,
stają w oczach miraż:
jest gdzieś wielka swoboda, wielka cisza stepowa;
nieuchwytnie szeleszczą burzany,
i wysoko, wysoko, nad zielonym przestworem
lecą wolne krzeczoty...
Krzyk ich hardy się zlewa z sennym traw rozhoworem,
budzi stare kurhany,
w wielkiej ciszy stepowej milkną długie tęsknoty...

Z wysiłkiem znów pracuję,
praca ma żmudna, długa...
Tak zimno, zimno w domu,
narzeka głośno sługa.

Spowinięte w śreżogi, niebosiężne turnice
wystrzelają w oddali,
a po zboczach tryskają czarodziejskie krynice.
Ja się wedrę na zbocza, w czystej skąpie się fali
i odrodzę się w chwale, ducha w bezmiar zachwyce
i potęgę mu dam wielkoluda.
W błyskawicach wszechmocy, w cichych blaskach po-
zejdę w dół — tworzyć cuda. [gody
Zlecę ciała chorobę, zlecę niemoc serdeczną,
promiennością nasyce,
świat przelecę wicherem słoneczną...

O matko, czyż mi nie dasz
pieszczoty — zapomnienia?
Czyż w tobie troska miłość
wyziębła i skamienia?

O przyjdź!
Przyjdź w świętości lub grzechu!
Ja požadam, ja wołam: przyjdź miłością opętać,
ja chcę chwili wytchnienia, ja się chcę zapamiętać
w twoich jasnych źrenicach, w twoim dobrym
[uśmiechu.
Przyjdź w świętości lub grzechu — zapomnienie jest
[święte,
przyjdź, nim ciało uwiędnie, przyjdź, nim ducha
kość żądze, w męczarni poczęte... [wycieńczę,
Daj rozszalać i omdleć — porwij w silne ramiona,
całunkami oszołom,
ja upadam, ja cierpię — jam nieludzko stęskniona!

Moje piersi wiośniane, młodzieńcze...
Ja chcę szafem uragać padołom...

Stękają przez sen dzieci,
Trapi je ciężka zmora,
I kaszle długo, długo
w noc ciemną matka chora...

PIEŚNI O PRAGNIENIU.

I.

Jam step, ogarnięty pragnienia pożarem!
Jam piekło! Lubieżnych hurysek jam harem!
Jam żagiel, wieczyście od wichru szarpany,
jam mewa, co muska szumiące mórz piany,
jam cisza bezbrzeżna, stłoczona i parna,
rozpaczna, bliskością samumu ciężarna,
jam otchłań: bez dna i bez granic jej głębia,
w czeluściach lewiatan pragnienia się skłębia,
ja jestem dni nowych świtanie zaranne,
ja jestem pragnienie nie ludzkie, orkanne.

II.

Drży każdy nerw przeczuciem niepojętem,
zgadując dzień w świtaniu,
spiętrzona fala krwi mój mózg zalewa,
w żądz dzikiem, schrypłem łkaniu

oślepta rozpacz beznadziejnie krzyczy...

Tnie maki na otawie

kamieniem Dobra wyostrzona kosa.

Kraśnieją zbyt jaskrawie,

a biel szkarłatnej łuny znieść nie może,
ta chłodna biel dobroci...

Jam step spękany: trawę zwęglą żary,
zanim ją deszcz zwilgoci.

III.

Zapiekłe moje wargi
o wodę źródło proszą,
z głodowych susz czernieją,
szaleją za rozkoszą.

Nad wasze ciche krzyże,
nad męczęństw sarkofagi
wydźwignę urągliwie
mej żądy posąg nagi.

Marom samozaparcia,
upiorom wyrzeczenia
rzucę ascezy wzgardę,
nieludzki krzyk pragnienia,

udręczeń krzyk szalony
tchnę w rezygnacyi ciszę,
i niechaj w was stłumione
orkany rozkołysze.

IV.

Tak ciężko, duszno mi...

Tak cięży senna głowa,
tak nadmiar wrących sił ściśniętą pierś rozpiera,
odurzające wonie przynoszą dziwne słowa,
rozkoszne, niepojęte, silne, aż dech zamiera.

Ach, czemu tak w południe białe od żarów, parne
płyną w powiewach ciepłych westchnienia tuberozy?
Duszność tak cięży, gnie... Zgęszczam ją w chmury
[czarne,

w błyskawic koralowe owijam się powrozy,

i do krwi ich splotami gorączkę ciała smagam,
aż cichnie, ugaszona pokutnych mąk posoką,
i znowu się zapala, i znów się w żądzę wzmagam,
i znów zasnuwam przestwór nawalnych chmur po-
[mroka.

Tak ciężko, duszno mi...

Okropnym cierpię brakiem,
dręczącym niepokojem wre, tętni krew młodzieńcza...
Chcę cudu! niech z objawień ognistym spłonę krza-
[kiem,
lecz precz z wampirem mąk, co ssie mnie i wycieńcza!

Tak ciężko, duszno mi!

Obłądem tchną storczyki,
oplotły liany pragnień mój każdy nerw bezwładem --

w puszczy mej duszy łyszczą zielonem okiem żbiki,
na żer czyhają. — Ścieżką sarenki biegną stadem...

Tak ciężko, duszno mi...

Dojrzały drzew owoce,
bajecznych, złotych drzew owoce rubinowe,
opadu pragną... We mnie nieznane drzemią moce,
w bezsenną noc się rwą wołania bezechowe.

V.

Ja pragnę, pragnę, pragnę!
Kość pęka, miąższ usycha,
ni kropli rośnej niema
dla mnie na dnie kielicha.
Powoję się stulają,
ostróżka się zamyka,
żar wyssał rosę z dzwonka,
z konwalii i orlika.
Spękany grunt pod stopą,
nad głową — krąg miedziany,
a z turni — hen, wysoko,
mknie potok zwierciadlany.
A przed nim się pokładły
potworne straszne węże,
i nikt z śmiertelnych wody
kryształnej nie dosięże.
Ja pragnę!

Krzyk szalony
błękitnym wstrząśnie stropem,

rozżagwi świat pożogą,
zaleje wód roztopem.
Ja pragnę!

Z mąk omdlewam,
w żar wichur się rozwiewam...

VI.

Ja pragnę — ocean mojego pragnienia
opłynął ląd wszystek, świat cały ogarnia,
przyjmuje w swe łono strumienie i rzeki,
w mej jednej męczarni — wszechświata męczarnia.

I wzbiera ocean wszystkimi wodami,
i szumi żądz martwych, zabitych snów żalem,
i skargą okrętów, co na dnie butwieją,
owija się mglistej tęsknoty woalem...

I szumi ocean, bez końca, bez końca...
Nad pianą perłową łka smutny krzyk mewy,
i milczy wiecznością tajemnic dal sina,
i ziemi śle tęsknic wieczystych powiewy.

VII.

Chcę źródła, co gasi nieludzkie pragnienie,
chcę źródła, co daje potęgę bezbrzeżną,
chcę źródła, co jasną wszechwiedzą obdarza,
chcę źródła, co wraca skalanym biel śnieżną.

O, płyńcie tu do mnie! otwieram wam łono,
wy, strugi i rzeki ludzkiego pragnienia,
ja w piersi zawarłem mej ludzkość spragnioną,
zawarłem jęk głodu ludzkiego istnienia!

VIII.

Gdzieś kwitnie czar...

W pomroce sinej boru,
gdzie cisza śni, w mgły zadum upowita,
gdy srebrną gęźbę niesie dech wieczoru,
paproci kwiat zakwita.

Dąbrowa łśni, jaśniej cieńszy jar —

Gdzieś kwitnie czar —
nie dla mnie...

Gdzieś płonie cud —

W słonecznej glorii płonie,
i z szafirowych głębin na świat schodzi
w objawień tęczach, w srebrnych gwiazd milionie,
z perłowych pian wypływa w złotej łodzi...
W podziwie milkną, cichną fale wód...

Gdzieś płonie cud —
nie dla mnie...

Gdzieś wzrasta moc...

Wypręża olbrzym ramię,
lodowce z wirchów dumnym rzutem strąca,
kamienne gór przegrody piersią łamie,

omdlała, senną ciszę tchem zająca,
zwalcza, rozdziera wiekiutę noc...

Gdzieś wzrasta moc —
nie dla mnie...

IX.

Świat rzezi w żądz spiekocie,

świat zmienił się w dwie wargi,
w dwie wargi gigantyczne: z agatu i szafiru —
niebo i ląd — i zawisł nad oceanem z kiru,
szumiącym żałobnymi falami wieczne skargi,

i pije go bez końca, w zapamiętaniu, chciwie,
lecz pragnień swych ugasić nie może słoną falą,
i ziemia wchłania zeń jałowe, gorzkie szklowie,
a niebo — czyste łzy, co znów się wykryształą,

i spadną cudotwórczym, ożywczym, jasnym zdrojem
na spiekłą ziemi pierś — i zwilżą ją litośnie,
aż zcichnie chora pierś — tętniąca nieukojem,
uśmiechem dziękczynienia rozkwitnie w krótkiej
[wiośnie.

X.

Ja pragnę — w bezgranicze
pragnienie moje sięga,
i wszystko tajemnicze,
i cała wszechpotęga,

i wszystkich snów sezamy
i wszystkich ziem przepychy
nie wzniosą jeszcze tamy
dla mej niesytej pychy.
Pragnienie me zagarnie
oddale i поближе,
rozkosze i męczarnie,
bolesne, czarne krzyże,
djamentowe berła,
siermięgi i purpury,
i każda rośna perła,
i wszystkie gwiazdne sznury
zawarte w mem pragnieniu —
mych żądz nienasyconość
chce wieczność streścić w mgnieniu
i rwie się w nieskończoność.

XI.

Kto postawi mej woli nieugiętej i hardej
kres mojego dążenia — kto ocean powstrzyma,
który wirch nadobłoczny podminują oskardy?
W nieskończoność ja rwę się, ja mam siłę olbrzyma!
Jam dostojny pragnieniem — w tem ma godność

[człowieka,

gardzi duma tytana tym, co bezmiar zacieśnia...
Me pragnienie myśl wciela, w kształt widomy obleka,
gwiazdy z orbit wytrąca, srebrny eter rozpieśnia,
stapia z duchem materię, w dziwne lejąc je tygle,
i wciąż nowy cud stwarza, dążąc, dążąc bez końca.

nie obrzeżam go w granit, choć się rwę niedościgle,
i sfinksowi istnienia rzucam krzyk: słońca! słońca!
Ja mam czoło, znaczone niepokoju stygmatem,
bezruch stawu zwalczyłem, mknę kryształnym po-
[tokiem.

czystej bieli pożadam — moim całym szkarłatem,
złotej jaśni pożadam — moim całym pomrokiem!

NIETOPERZOWE LOTY

WE MNIE JEST NOC...

We mnie otchłanna i bezgwiezdna noc...

Niech dzień nie gaśnie,
niech, gasnąc, czarnej nocy nie rozpęta,
która śpi we mnie zaklęta,
niby upiorne, skamieniałe baśnie.

Niech dzień nie gaśnie,
niech jego rozgwar tysiącbarwny, złoty,
piersz moją chorą
nieprzeniknioną przycisnie zaworą,
niech na uwięzi trzyma me tęsknoty.

Wyciągam ręce,
żółte, uwiedłe w męce,
i niewidzialne kładę
na ludzkie dusze niby na klawisze:
zagłuszyć chcę umarłą, straszną ciszę
w mej piersi — tam —

i gram, i gram,
w tonów się wtapiam kaskadę,
upojnych, jak haszysze...
I gram — i gram —

I pieśń się zrywa, pieśń się zrywa,
taka szalona i zgrzytliwa:
taką weselną grzmi fanfara
nad połamaną moją wiarą,
i tak tanecznie, skocznie dźwięczy
nad rozprysniętym zamkiem z tęczy,
bucha tak drwiącą zwrotką śmiechu
nad niezmazaną plamą grzechu,
i płacze w cichej kantylenie
po utraconym mym edenie...

Dzień mi pod stopy zaścięła kobierce
z brudnych łachmanów i kosztownych lam,
idę — i dłonią biję w każde serce,
aż mdleją palce;
pieśń o zwycięstwie, o walce
ja gram, ja gram...

We mnie otchłanna i bezgwiezdna noc...

Niech dzień nie gaśnie,
dzień, przyodziany tak weselnie, kraśnie,
że aż odwrócił me oczy
od niezgłębionej pomroczy
co we mnie leży — hen —
bez granic i bez den.

Rzucaj mi, dniu, twe kształty wspaniałe, najrzadsze,
niechaj się twoim złotym migotom napatrzę,
uśmiechniętym tak cudnie, radośnie,
twoim haftom w pól krośnie
niech się napatrzę,
niechaj się tobą odurzę!
Wszakże tak pełne miodu cudze kruże!

We mnie otchłanna i bezgwiezdna noc...

Niech dzień nie gaśnie —
ja w rozwichrzeniu czynu wśród dnia tęgiej mocy
nie czuję nocy.
A kiedy wieko nocy się zatrzaśnie,
i zamknie, niby w trumnie, dzień promienny,
wtedy się wyotchłani ból groźny, bezdenny,
tam, ze mnie,
wstaną przepastne ciemnie,
rozkrwawia je gromami obłądne rozpacz
i bezpowrotność zapłacz
całunnych łez ołowiem...
niech dzień nie gaśnie — ja się o nocy nie dowiem!

We mnie otchłanna i bezgwiezdna noc...

DWOM BOGOM.

Przejasny boże dobra, o Ormuzdzie,
twój ciężar nie znał litości dla bark,
ja — dziki rumak — chodziłem w twej uździe,
twój arkan umiał mnie w stepach wytropić —
szedłem ku tobie przez tęczowych ark
nadziemne mosty, by się z tobą stopić.
Tyś włosienicę kazał mi oblekać
tyś mnie nauczył darów się wyrzekać,
które mi młodość rzucała tak hojnie.
Tyś mnie pouczał o ranach i wojnie,
by mnie, pokoju zwiastuna,
słać na okopy z gałązką oliwną.
Tyś wszczepił we mnie męczeństw moc przedziwną,
abym ja nie znał litości
dla ścięgn starganych mych, strudzonych kości.
Tyś kazał milczeć brzmiącej we mnie pieśni,
wwiódłszy mnie w otchłań, gdzie wszyscy boleśni
strasznym, przeciągłym zawodzili jękiem —
ty nauczyłeś mnie czynów modlitwy,

ty mi nie dałeś zasłaniać się lękiem
przed granatami wśród bitwy.
I ty mi dałeś wszystkich potęg cuda,
abym przewalczył i wyniszczył — siebie,
abym zapomniał i pogardził — sobą,
jak jedną chwilą w wieczności,
abym w jałowej orał ciężko glebie,
jak orzą prości,
karmiąc się chlebem piołunnym — żałobą...

Ja chcę być sobą —
ja chcę być szaleńcem —
nad moim czołem, zdawna ociążałem
pod niegasnącej pamięci chorobą,
zbiera się chmura groźna
z tych myśli, co nie miały czasu trysnąć w słowach,
z tych uczuć, które, niby kity traw i kwiaty
zdeptała czeladź oboźna,
rozkładająca na łące ogniska;
z chwil, które były z piękności poczęte,
a obumarły, już w kielku,
pośród rozgwaru i zgiełku...

Ormuzdzie, dobra ty przejasny boże,
niechaj mi dary twe będą przekłete —
i twych nakazów przemocne obroże...
O, bądź przekłety, że ty dłonią kata
mnie napoiłeś żrącym eliksirem —
męką Wszechświata!
Staję przed tobą w ponurej koronie

z djamentów moich wiar
na straszne, czarne przepalonych żużle.
O, jak mnie bolą skronie
pod tą koroną.
Mrocznych żywiołów boże, Arymanie!
ku tobie obracam oto
żrenice me, łkające odwieczną tęsknotą,
me beznadziejne wołanie.
O pochyl ku mnie na mgnienie
zapomnień kruz,
sprowadź z wiecznie pogodnych, ze słonecznych
pchnij w otchłań, w zatracenie, [wzgórz,
zbudź me umarłe pragnienie!
Ja chcę być sobą,
ja chcę być szątem!
niechaj odleci dobro z skrzydłem mroźnem, białem,
niech mnie twa dłoń przemożna purpurą spłomienia.
Daj — ja zapomnę męczeńskiej pogody uśmiechu,
daj czarę kipiącą grzechu!
Tam, we mnie, skowany ból,
ofiarniej mocy łańcuchem,
ty go oderwij i zwól!
Zejdź, boże! Tyś mi znany, tyś pokrewnym druhem,
Lecz nie wiem, jak u ciebie dla mnie się nazywa
ta czara zapomnienia pienista, burzliwa?
Ja zatraciłem już wiarę
w roznamiętnionych drżących warg narkozę,
i w ramion lawą nabrzmiątych haszysze —
a cóż zażegna we mnie chłodną zgrozę,
co we mnie ból ukołysze?

Chcę być żywiołem!
Chmurnego grzechu boże, Arymanie,
czemu mi burze uciszasz nad czołem
i przed rozbitkiem w głąb usuwasz grunt?
Dlaczego mówisz do mojej rozpaczny:
Ja jestem bunt,
wzamian za wieczność daję chwil znikomość,
i pamięć udręczoną porywam w odmęty.
Lecz tobie powrót odcięty
do mojej słodkim szątem przepętniej oazy.
Po tobie przeszły walki i ciche ekstazy,
ciebie ofiarna jasność bez końca odradza,
i na zawsze skruszona nad tobą ma władza.
Czyż mogę ja — materya, ja — szatan odurzyć,
gdyś ty ciało przewalczył i kazał mu służyć?
Ty siebie zatraciłeś w ciele czystem, białem:
już nigdy nie będziesz szątem!
Masz świadomości strugę kryształną wysączyć,
i z prażródłem jej znowu w wieczności się złączyć!

Zła bezlitosny boże, Arymanie!
straszną twa zemsta, a straszniejszym jeszcze
moje słoneczne konanie...
Podsycę w sobie zła najłżejsze dreszcze,
abyś mnie zaklął, ze mną pojednany,
w twoich żywiołów szczęśliwe orkany!

KURHAN.

Na kurhanie ja siedzę samotnością olbrzymi —
moje skronie owiewa wolny wicher stepowy,
niesie szepty wesołe od zielonych czaharów,
niesie pogwar daleki z białych wiosek wśród jarów,
z sinej mgły, która z rzeczki gdzieś dymi,
kręci zawój dokoła mej głowy.

Wkoło wełni się morze czarnych skib rozoranych,
tylko do stóp kurhanu żółte tulą się bratki
i srebrzysty krzak ostu...

O, nie zbliżaj się do mnie, stado ludzi rozśmianych,
niepotrzebne mi świadki:
teraz niema pomiędzy mną a wami pomostu!
bo go zmył i połamał ten prąd bólu szalony.
Nie zbliżajcie się do mnie ni z uśmiechem, ni z łzami,
nie zbliżajcie się teraz — my musimy być sami
Ja — i ból mój — my dwoje —
na mogile kurhannej...

Pochowałem w kurhanie
to, co było miłością i co było łańcuchem,
wzjerającym się w dłonie...
Odepchnąłem od siebie przebolesne kochanie
silnym buntu podmuchem,
otrząsałem ze siebie, jako brzemień natrętne,
wyzwolenia zeń chciałem, jako z formy przeżytej,
a gdy oto skonało, podeptane i smętne,
z jękiem piersi ranionej, z jękiem piersi rozbitej;
wtedy wziąłem je w dłonie me wolnością zbrodnicze,
pochowałem w kurhanie...

Stara forma umarła — mogę iść w bezgranicze,
stara forma umarła — nic na drodze nie stanie!
Otom stąpił przez trupa, jak przez szczebel ku wyży.

Mnie wołają na bitwę szeleszczące proporce,
trza wytępić na ziemi las męczeński, las krzyży —
ale w piersi mej pełno brózd głębokich po orce
pługiem bólu — mocarza...
Lecz bez końca łzę po łzie, jak po szklanej paciorku,
rzucam w ziemię kurhanu.

Wzywam wichry, niech tutaj pieśń przylecą zanucić
przy mych łkań dzikim wtórze.

Niech misteryum boleści wzrokiem nikt nie znie-
[waża —

już za chwilę mam odejść, by już nigdy nie wrócić
tam, gdzie szumi kłós łanu,
tam gdzie jaskry, wysokie dziewanny
pośród maku czerwieni, pośród szafwji fioletu

całun z tęcz, złototkanny
zarzucają na kości szkieletu...

Pójdę naprzód — i mnie nie powstrzyma
żadna mrocznej przeszłości zasadzka.

Kurhan we mnie zapadnie, i w mej głębi się zmieści,
nie zawali mej piersi olbrzyma,
wszak sypała go własna moja dłoń świętokradzka!
Stara forma umarła!

W dal! Proporzec szeleści!

GOLGOTA.

Ja cię sam ukrzyżuję. W twoje ręce, drgające
przerażonej krwi tętnem, w nogi sine i sztywne
będę wbijał powoli ćwieki ostre i twarde,
i katując w ekstazie twoje członki mdlejące,
będę patrzył, jak męka wzrasta w piękno przedziwne,
w bohaterstwo nadludzkie, w wielką bólu pogardę.

Ja cię sam ukrzyżuję. Nieugięte me dłonie
w twoje serce wymierzą kamień z ostrych krzesanic
i pogrzebię twój jasny, bujny włos w cierni mnóstwie.
A gdy skonasz w milczenia królewskiego osłonie,
z dumnem w oczach zwycięstwem, w wszechpotędze
[bez granic,
wtedy klękne przed tobą, padnę w proch i ubóstwie.

KLATKI.

Ludzie, ludzie...
Klatki — w nich dzikie zwierzęta
śpią.
Ukryły w powiek obłudzie
oczy, nabiegłe krwią,
oczy drapieżne.
We mnie — obawy bezbrzeżne:
każdy mój ruch rozpęta
ich wściekły dziki ryk.
Śpią...
Zmrużyły drapieżne ślepia...
Śpi niezliczony lik...
Idę — dłoń moja się czepia
krat w wązkich przejściach trwożliwie.
Stąpam z niezmierną słodyczą,
cała w słuchaniu przegięta:
cicha, cicha —
bestya chrapliwie oddycha.
O nie stukajcie, nie krzyczcie wy tak hałaśliwie:

zbudzą się dzikie zwierzęta —
zaryczą,
zabłysną ślepia złowieszcze.

Spokój chwilowy, rzadki —
śpią — cielska wstrząsają dreszcze...
Nie odchodź, ciszo — cudzie...
Dokoła z bestyami klatki —
ludzie, ludzie...

ŻYCIE.

I przyszło do mnie Życie...

I miało oczy, jak morza
w bolesnym smutku zaśnione,
jakby konała w nich zorza
przy krzyku zawodnym mew —
a usta miało czerwone,
jak świeżej rany krew...

Stańto słońce w zenicie.

Życie na usta me kładło
swoją pocałunek — płomień,
w każde me oko — zwierciadło
wbiło swe oko jak nóż —
przyniosło żar oszołomień
i płacz bezdennych mórz.

I przyszło do mnie Życie...

NA ŻER ABSTRAKCYI.

I wyszała abstrakcja ze mnie rdzeń żywota,
lecz na umarłe równie, zgaśnię spaleniska
pada promień mienisty, niby deszcz — pieszczota,
do księżnicy mej wchodzi szalona huryska...

Tak rozkosznie przegięta, w szalu, jak krwawniki,
wkradła się w głąb surowej, milczącej księżnicy,
rzuca żółte złocenie, plamiste storczyki
i iskrzące spojrzenia namiętnej żrenicy.

I przyniosła kipiące żarem niebo wschodnie,
i słodycz tak ospałą, jak fał sennaść modra,
i depcące cherubów białość szatu zbrodnie —
przyniosła mi, kołyszac bujne, krągłe biodra.

Mózg przemądrzały, który, jak kula komety,
przecinał firmamenty, otchłanie przedwieczne,
wzięta w dłonie, świecące tęczą bransolety,
jak haftowane w gwiazdy dwa gościńce mleczne.

I kołysały dłonie chłodną, czujną głowę,
ogarnęła mnie ogni kipiąca fontanna —
lecz szyderczo milczały stosy ksiąg surowe:
nawet w rozkoszy łkała myśl wiecznością ranna.

I nawet w haszyszowej rozkoszy oplotach,
i nawet na wezgłowie z dusznych asfodeli
marzę o nieochybnym, twardym woli grzmotach,
o dziecka nieskalanej, seraficznej bieli.

Choćby wszystkie orkany zmysłów przesalały
i choćbym uciekł w szatu najdziksze ostępy —
jednak znowu na sine wrócę lodozwały,
gdzie na żer mnie poszarpią znów abstrakcyi sępy.

JAK ZIMA...

I przyszedł znowu wieczny, cichy ból...

Przyszedł, jak zima...
Całuny śniegu rzucił na mą duszę
dłonią olbrzyma,
rozsnuł ponad nią nieprzerwaną głuszę
w chmurnym oprzędzie.
I tylko widać wśród lodowych pól
krwi plamę czarną.
Tam pod śniegami kiełkujące ziarno
już nie wytrzyma,
wiosny już nigdy nie będzie...

I przyszedł znowu wieczny, cichy ból,
przyszedł, jak zima...

BEZ SIŁ.

Znów leżę chory i bez sił, jak powalony młody
[klon,
ja — nadotchłannych dźwigacz brył, zaprzepąściłem
[życia plon.
W strasznym wysile rwał się nerw, rzeził strudzony
[oddech płuc,
walczyłem długo i bez przerw, chciałem ponurą
[otchłań zmóc.
Nie wytrzymała tęgość bark, — „stoi nade mną Nie-
[moc — kat,
i muszę patrzeć na wasz targ, na sieć nikczemnych
[waszych zrad,
i spaść nie mogę, jako grom, na małość waszą skre-
[cić bicz,
ani przeszkodzić płynąć łzom, ani rozdmuchać mrący
[znicz.
Na świecie łzy, na świecie ból — kołacze w drzwi
[me cichy jęk,
a mienie wasze niszczy mól, a na was czyha śmierć i lęk.

Naprzód! Chcę walki dzikich salw! — A zwolna
[krzepnie krew mych żył...
Pośród jesiennych bladych malw — znów leżę chory
[i bez sił.

AKORD.

Ciemnia i próżnia, huk i wir...
Runęły w otchłań światy...
Na czarny kir, żałobny kir
padają łzy i kwiaty.

Głucho, jękliwie, bije dzwon...
Złamane więzień kraty...
Czcząc cichy skon, męczeński skon
padają łzy i kwiaty.

Kłębią się w mglisty, zwiewny słup
kadzideł aromaty...
Na błydy trup, na zimny trup
padają łzy i kwiaty.

Wieżli go w blasku mrących zórz,
A czarne mieli szaty...
Na szary kurz, przydrożny kurz
padają łzy i kwiaty.

Z tytanką — ziemią zawarł ślub
on dziedzic przebogaty...
Na biały grób, kamienny grób
padają łzy i kwiaty...

POGRZEB.

Melancholia niezmierna zawodzi
w kół leniwym turkocie,
wplata bezład złowrogi
w drzew gałęzie szerniałe, bezlistne,
w ciężkie myśli człowiecze...
Miasto w szare i sennie upowiła śreżogi...
Melancholia się wlecze
w szarych dni monotonnych chlupocie.

A wśród ciemnych, mrowiących się dzielnic
ciągnie orszak żałobny powoli...
Ciężkie dymy się snują z kadzielnic,
a baldachim skrzydłami ocienia
srebrny anioł wiecznego milczenia...
Coś się rwie, coś tak boli...
Srebrna trumna na czerni,
jak łąza jedna olbrzymia migoce,
i w krepowych welonach miłujący i wierni
niosą cicho za trumną
swoje serce sieroce...

Idą... czarny karawan się chwieje,
nieodpartą mnie ciągnie hypnozą,
i wyrywa z pod serca
łzy tajemne, najkrwawsze...
Mnie się zdaje, że tam szczęście moje,
moje szczęście, umarłe na zawsze
w trumnie srebrnej gdzieś wiozą...
Moje szczęście umarłe
wiedzie w trumien korowód rytmiczny...
I że za niem się wlecze
w wiekuistej tęsknocie,
w żałobniczych welonach
w szarych dni monotonnych chlupocie,
przeolbrzymi mój ból, bezgraniczny...

MODLITWA O ŁZY.

O ciche łzy, kojące łzy,
padnijcie czyste, wonne
na popękany duszy grunt,
uciszcie mękę, zgaście bunt,
srebrne szemrajcie mi podzwonne.

O ciche łzy, kojące łzy,
srebrzystych gwiazd opyle,
padnijcie rzeźwą mocą ros,
na zwiędły w mgłach jesieni wrzos,
na żółte trawy i badyle.

O ciche łzy, kojące łzy,
ku wam się bólem modłę:
stopcie kamienną ciszę mąk,
wieście: zakwitnie suchy strąk,
i zrośnie pień złamanej jodle.

O ciche łzy, kojące łzy,
niech struga rozperlona
osrebrzy kir, trumienny cis,
niech w bólu nie drga każdy rys,
niech męka we łzach cicho skona.

GRZECH.

Wstrętne, oślizgłe pełzną ku mnie gady...

Zimne me łoże,
zimno po ciele przebiega, jak mrowie,
oblane zimnym potem me wezgłowie
i pokropione łez palących żarem —
idę przez życie z wieczystym ciężarem,
o, przez zatrute jam przeszedł pustkowie,
roślin zjadliwych uzbierałem pęki
i rozdawałem hojnie:
niech pamiętają dar kochanej ręki —
rozpacz i męki,
niech pamiętają i niech śpią spokojnie,
jak ja, jak ja...
o, cha, cha, cha!

Katuszy wiecznych uraz i zażaleń,
jak ty przeżyłaś całe moje wnętrze!

Wstrętne, oślizgłe pełzną ku mnie gady...

Zebrały się złe duchy — i toczą narady...

Ja byłem buntem i rozpaczą,
echem tych wszystkich, którzy płaczą,
żywem jasności zaprzeczeniem,
otchłanią, próżnią, nikłym cieniem.
Świat zaciemniałem mem obliczem,
chciałem być wszystkim — byłem niczem,
w sieć drobnych grzechów uwikłany
deptałem wszystkich — sam deptany,
o byt toczyłem bój zażarty,
z dostojęństw mocy tak odarty,
żem był zbyt słaby, by obalać,
by się potężnym grzechem skalać.
Powszednich grzechów oczka drobne
w tkaniny splotły się żałobne
i na duch wolny, niepodległy,
niby posępny całun legły.

Wstrętne, oślizgłe pełzną ku mnie gady...

Pełzną dokoła —
złe nawiedzenie, moc nieprzyjacielska,
z wzrokiem obłądnym leżę — upiór blady,
włos mi się jeży u czoła,
a gady wznoszą swoje giętkie cielska,
wkrąg pręgowane, plamiste,
i syczą —

Ha! jaką pierś ma nabrzmięwa goryczą,
ja miałem serce czyste...
Zebrały się złe duchy i toczą narady...
Ha, gad mi gardło oplata,
za skrętem — skręt.
Skórę mi łechce łuska zimna, twarda,
za krtań mnie dławi straszna samowzgarda,
i wstręt, i wstręt...

Dokąd się udam z moją duszą chorą?
Było z niej jasne kryształne jezioro,
teraz je zaćmił męt.

Czyż mam pod męką wiecznie głowę zginać?
Czyliż zepchniętym nie wolno się wspinać,
ni zerwać pęt?

Za skrętem — skręt...

Wstrętne, oślizgłe pełzną ku mnie gady...

Grzeszyłem —

Myśla i słowem i czynem.

Mnie od złych myśli tak pod czaszką rojno,
jakby robactwa drobnego miryady
miast mózgu, wiły się w kłęby.

Zła myśl przeziara przez grę nieukojną
rysów, ironię warg, ściśnięte zęby,
przeziara w oczu podkrążeniu sinem
i w urągliwe słowa się przelewa,

rzucając na twarz czerwień swym bezwstydem.
I jak myśl w słowo, słowo w czyn dojrzuje,
ciałem się staje to, co było widem,
i zapatrzona w oddalone cypłe,
błądzi po niżach dusza ma przepłuta,
i nieustannie, natrętnie, ochryple,
rozbrzmiewa w życiu mem fałszywa nuta.
Duch mój skalany, znieprawione ciało,
znikła surowość zakonniczych cel —
o narzucie osłony, które życie zerwało,
wróćcie mi biel!

Wstrętne, oślizgłe pełzną ku mnie gady...

SKAZANIEC.

Rozechwiały się dzwony, rozechwiały się dzwony...
Stara sosna za kratą z suchym skrzypem się zgina,
cegły z ścian wyskakują, tańczą taniec szalony...
Rozechwiały się dzwony — i wybiła godzina.

Świat umrzeć ma — świat chory —
tam płynie przez przestwory
 olbrzymia lodu kra,
zniszczeniem grożąc, płynie —
świat umrzeć ma, świat zginie,
 nie, zginę tylko ja!
Spada sto słońc z zenitu...
Nie jest-ż wam kresem bytu
 mej świadomości kres?
Strach czyha poza lochem —
drzę, łkam bezgłośnym szlochem
 niewypłakanych łez.
Strach szczyrzy lico sine,
jak pajak w pajęczynę,
 świat cały osnuł w kir...

Tłum wizyi, tłum wygnańczy,
spada, jak rój szarańczy,
 rwie wszystko w szal i wir,
kotłuje, mknie z tupotem,
wpadł w pierś, wali jak młotem —
 szczękł zamek, stanął zbir.
Halabard ostrze szczękło...
Strach huczy, milion pękło
 strun na milionie lir...

Rozechwiały się dzwony, rozechwiały się dzwony...
Płomykami krwawemi liżą przestwór pochodnie,
jeż sosny przydrożne suche igły, jak szpony —
obojętne mi cnoty, obojętne mi zbrodnie.

Szczękają halabardy,
we mnie drży morze wzgardy,
 wzbiera nieludzki bunt.
Gwałt skuł — kto rozkuć zdoła?
Kapie z pochodni smoła
 na popękany grunt.
Dusi mnie niebo płowe,
strop wali się na głowę,
 otchłań bez dna u stóp...
świat w męce dogorywa,
z oddali na mnie kiwa
 ten słup, ten czarny słup.
Z czarnego węzowiska
wąż wypełzł, gardło ściska,
 rozdziera niebo syk.

Zarzewiem przestwór gorze,
rozedrgał się w przestworze

potwornej męki krzyk.

Ide — brnę w słupów haszczu,
czeka mnie w krwawym płaszczu
zakapturzony kat.

Duch ofiar we mnie wmusza,
że szczęściem jest katusza,
żem najniklejszą z strat,

że życie — to nie eden,

że cierpię nie ja jeden,

że cierpi cały świat!

I cieszy mnie nadzieją,

że inni znają i sięją,

żem wywiódł ich z za krat.

Na progu bezgraniczy

wyrzucam śmiech goryczy

na dobro i na grzech —

świat żyje tylko we mnie,

gdy zgasnę — będą ciemnie —

szarpie mnie, dławi śmiech!

Rozechwiały się dzwony, rozechwiały się dzwony...

Czarny słup stoi w dali — i wyciąga swe ramię,

kat obnażył już ręce, zsunął kaptur czerwony...

Rozechwiały się dzwony. Życie kłamie, śmierć kłamie!

Duch mędrców szepcze szczytnie:

— Bez ciebie nie przekwitnie

płomiennych uciech kwiat.

Cóż, że wśród dusz bezedna
zginie twa dusza jedna?

Nie zginie z tobą świat!

Tyś pyłkiem, tylko pyłkiem...

Cóż zdziałasz twym wysiłkiem,
ty — ułomności zlepi?

Zatrac się w cisz ogromie,

żyj w szczepie nieświadomie,

ty giń — niech żyje szczep!

A życie krzyczy dumne:

— Chcę istnieć — weźcie trumnę,

jam sobie — cały świat!

Życie — to cud, sakrament... — —

Ha! próżnia, wir i zamęt —

zakasał ręce kat...

Z śmiechem uragowiska

mym bólem w ból mrowiska,

w tyranię myśli plwam,

na ich ofiarność cichą

plwam życia jasną pychę,

wzgardą mogiłnych jam!

Ha! ha! życie rozlewne,

szum hymny, hymny śpiewne,

chorągwią zwycięstw furcz!

Śmieję się — chrypnę z ryku

uragań — i na stryku

zastygam w śmiechu skurcz...

FANTAZJA PANTEISTYCZNA.

Zgubiłam moje Ja —

Uciekło ze mnie w dale,
i próżno wołam je, ścigam wśród mąk wytrwale,
wybłyśło ze mnie, jak barwista raca,
w tysiącu skier pierzchnęło — i nie wraca.

Czy je wetchnąłem w szumy oceanu?
Czy je rozlałem w czerwień łun zachodu?
Czy je wrzynałem w dumny huk orkanu?
Czy też stężyłem w górskie rzeki lodu?
Gdzie moje Ja?

Czy między skalne złomy
zapadło w świat podziemny, między gnomy,
gdzie leżą roślin skamieniałych cuda —
czy tam rubinów więzi je ułuda,
czy tam z dyamentów krzesze barwy tęczy,
gdy pustka w piersi boli mnie i męczy?

Czy się rozwiało w kwietne, lekkie puchy
sieroce, żywej szukające gleby,

aż znów wichrowe rzuca je podmuchy
pękami kwiecica na jałowe żleby?
I szukam mego Ja —

i nie wiem, gdzie się kryje —
i cudze słowa mówią me bezwładne usta,
i obcy nakaz gnie mi szyję,
i boli mnie pierś moja pusta.

Czemuż me Ja się oderwało,
jak od suchego pnia gałązka?
Mnie tylko znana tajemnica:
piers moja była nazbyt wązka,
i miejsca było w niej za mało.
Ja wzwyż się rwało, jak orlica,
i w nieskończoność rośło, rośło...
Jak żeglarz, który stracił wiosło,
gdy wkoło huczy nawałnica —
tak Ja straciło w snów tajnicy
poczucie kresu i granicy —
wicher kosmiczny powiał na nie,
uniósł gdzieś w grobów wirowanie.
Z mej jednostkowej piersi cieśni
wyszło, jak dźwięk potężnej pieśni.
Rozpękła moja pierś na dwoje,
i stoi wewnątrz jej otworem —
Ja, nie jarzmione już oporem
tej ciasnej piersi, co je gniecie,
żyje, rozlane we wszechświecie.

Idę do ludzkich szumnych gromad,
przechodzę rojne miast dzielnice,

pod martwych dusz zaglądam kiry
i szukam mego Ja —

Napróżno!

Bo wszędzie, wszędzie, — o rozpaczy! —
wśród cichych siewców i oraczy,
wśród bladolicych pustelników,
i tych, co karmią się jałmużną,
i co rozrzutnie sieją dary,
wśród nieugiętych bojowników
i dźwigających pęta sromu,
wśród niezliczonych dusz ogromu —
tylko cząsteczkę Ja spostrzegłem.
Przez możliwe czary, wrogie czary,
niepodzielnością swoją święte —
Ja, w milion odbić rozpierzchnięte,
przestało istnieć jako całość.

Gnie mnie kamienna ociężałość;
już cały ziemski krąg obiegłem —
Nadzieja coraz to zaświta,
gdy w głębi obcych dusz ukryta
cząsteczka mego Ja zazgrzyta.
Lecz nic nad jego nikłe ślady,
bo wybuchałe i olbrzymie
straciło dawno kształt i imię.
Aż dziwne przyszło mi orędzie:
niema go nigdzie, a jest wszędzie.
Wielka, łkająca dusz męczarnia
wszystkie jednoczy i ogarnia.
Z każdej zarówno się wyłania

część bólów mych i pożądania.
Choć obojętne, bezechowe,
to Ty potworne, tysiącglowe,
ciągle mi moje Ja objawia,
z bezmiarów jego krzyk wyławia,
i wiem to męką mą bezwiedną,
że Ty a Ja — to jedno.

W was moje Ja niszczeje i przepada,
wzięliście je — i w was się rozpląnęło.
Oddajcież mi, bo rozpacz we mnie biada!
Gdzie me samotne, me jedyne Dzieło?
Gdzie?

O wróć!

Wróć całe, niepodzielne,
miłością wieczne, mocą nieśmiertelne, —
tej pustki we mnie ja nie mogę znieść!
Rozedrę pierś, rozszerzę w bezgranicze,
Ty się w niej wtedy zmieść,
lecz objaw się — i nie przez Ty zwodnicze,
a jako naga treść.
Objaw się samo w sobie,
jak życia złota wieść!

Nie wraca —

A boli mnie pierś chora,
nie mogę wytrwać w pustce i żałobie —
ja ją zapełnię, zduszę nieukoje:
pójdźcie! przyjmuję w piersi moje
Ty — potwora.

OCZEKIWANIE.

Śnie mój, śnie,
mój cichy śnie!
Płyną bezdenne przeczekaniem dnie,
płyną otchłanne noce...
Serce sieroce,
gdzie twoja ustroń cicha?
Na chwiejnej stoisz opoce,
dłoń bezlitosna cię spycha
w otchłań, ukrytą w pomroce.
Kolumny spowiły bluszcze,
mech siwy porósł kolumny.
Wodotrysk, wysrebrzony nocą, cicho pluszcze —
O serca dzikie, niedostępne puszcze,
o, stropie niebios, pod gwiazd roziskrzeniem
wiecznie pochmurny,
o nocy, gwarna milczeniem!

Śnie mój, śnie,
mój srebrny śnie!

O, jak tęsknota bezlitośnie gnie,
jak bezpowrotnie łamie...

Ku wiecznej bramie,
ku niedościgłej oddali
podnoszę oto ramiona,
pluskiem kaskady narzekam,
ból mój gwiazdami się pali,
płaczę nim nocka cicha, roziskrzona —
i czekam...

Śnie mój, śnie,
mój wielki śnie!
Oto się zgięło serce dumne, lwie,
oto przekwitły irysy...
Płomienne spisy
mych tęsknot wyleciały na wsze świata strony,
sokołom wspomnień popuściłem dłuźce,
i dałem chciwym żeru
kęs mego serca skrwawiony,
i łąkowym dzwoneczkom, liliowej ostróżce,
smętym szelestom ajeru
zwierzam tęsknoty, jak wybranej družce...
Mgieł rannych całun oblekam —
i czekam.

Śnie mój, śnie,
mój złoty śnie!
Złoty blask strzelił — i utonął w mgle,
O bezimienne męczarnie!

O wy, gasnące latarnie,
na pustej, bielejącej świtaniem ulicy,
o beznadziejna dopełnień rozpaczy,
świcie dnia tego, w którym nie zobaczy
duch obiecanej krainy,
świcie, nadziei kacie jasnolicy,
dzienny szafirze, o, tak trupio-siny,
jutrznie, powrotu dni jarzemnych gońce,
dniu, który kładziesz mi pieczęć boleści,
którego wejście »nigdy« mi obwieści,
zabójco-słońce!
Oto się waszych darów dziś wyrzekam —
i czekam.

Śnie mój, śnie,
umarły śnie!
Dal siniejąca nęci, nęci, zwie,
o, niedościgła ty dali!
Słońce nimb wdziało z koralu,
słońce zachodzi, a ja weń żrenice
wlepiam rozpaczą oślepte...
Oddale zimne, przeraźliwe, skrzepłe,
wkrzyknąłem w was me tęsknice,
a echo »nigdy« odbrzmiało,
a wszystko we mnie czekało
na rozęczone, na cudowne zjawy,
na czarodziejskie bardony...
Przestwórz milczący, straszny, nieskończony
potwornem »nigdy« się roi,
»nigdy« w pierś wwiewa, jako akord łzawy,

nigdy nie będzie osto...
A za mną całe życie przeczekania,
a dal przede mną czernią się powleka,
a dusza czeka, wciąż czeka
w cichej męczarni konania...

SONET.

Idę w dale gościńcem tęsknoty,
po cyprysów żałobnej alei...
We mnie mrze, we mnie wędnie sen złoty,
wędnie, mrze cudny kwiat orchidei.

Powiał wiatr, zerwał bluszczu oploty,
a w cyprysach drgnął szept beznadziei...
Leci wiatr nad moczary, wykroty,
budzi echa rozpaczy po kniei.

Idę wciąż, a cyprysy mi szepczą,
że w dal próżno wyciągać ramiona,
próżno w słońcu żrenicą tkwić ślepczą,

że nie kryje przyszłości zasłona
ni powstania dla tego, co zdepczą,
ni zmartwychwstań dla tego, co skona.

WIZYA.

Gdzieś marmurowe lśnią postacie.
Płonie na wieżach iglic złoto,
gmachy lśnią w cichym majestacie,
białe — skąpane w nieb bławacie,
morze oddali łka tęsknotą.

Zaczarowana, roześniona
w dali kraina cudu leży,
z kolumn zwisają winne grona,
dziwnych, bajecznych drzew korona
aromatycznym kwieciem śnieży.

Dwa skrzydła ducha rozkołyszą:
biel karraryjską — szafir gęsty...
Bezmiarem tchną, — rozmodłą ciszą...
Cicho... Oddale lękiem dyszą,
słysząc wężowe suche chrzęsty...

Z gęstwiny palm, ze splotów ljanya,
z wolna wypełza gad olbrzymi,

bryzga jadami rudej piany,
wpełza na białe gmachów ściany,
dusznym wyziewem z paszczy dymi.

Złote iglice zębem zrywa,
rozgniata wieże, gmachy, miasta,
ujmując w kłębow swych ogniwa.
Olbrzymiem cielskiem gruz przykrywa
i w bezgranicze się rozrasta.

błękit płatami rwie, pożera,
i szafirową wchłania ciszę...
Baśń — niezrodzona — obumiera...
Wąż splot potworny rozpościera,
na zimnych falach się kołysze.

BAŚŃ KSIĘŻYCOWA.

Nad brzegiem morza, które płacze
w wieczystym fal chorale,
wybuchał pień akacyi młodej
na bazaltowej skale,
i w złotej glori dni wiosennych
rozsiewa aromaty,
i sypie w morze cichą nocą
białe i wonne kwiaty.
Gdy srebrnych, gwiazdnych strun melodia
cicho w powietrzu gędzi,
z głębin rusałek tłum wypływa,
jak biały sznur łabędzi.
Wypływa z grot swych koralowych
na szafirowe tonie,
i po akacyi kwiat wyciąga
alabastrowe dłonie.
Żali się fala srebrnopienna,
i szumi w oczerecie...

Dżdzy na rusałek długie włosy
białe i wonne kwiecie.
I lśnią w ich długich, ciemnych włosach
perły, szkarłatne glony,
i gra nad morzem śpiew ich cichy
tęsknotą rozdźwięczony:
— Nasz sad podwodny zdobią cuda,
tam koralowe mosty,
lekkie altany z łez perłowych
oplotły wodorosty,
sargas porasta wodne łąki,
splotły się w las morszyny,
pływa krasnorost karminowy,
królują wśród głębiny
barwne, pstrociste anemony,
lecz brak nam w sadzie kwiatu
czarującego śnieżną bielą,
słodyczą aromatu.
Śpiewamy tobie pieśń wiosenną,
kwitnące, młode drzewo,
niech w kwiat otwiera się pąkowie,
i śnieżną dżdży ulewą.
Lecz nie bądź tylko hymnem piękna,
wiosennych snów legiendą,
bo jeśli czarem twoje kwiaty,
owoce — cudem będą.
Przekwitaj prędzej, młode drzewo,
i z pąków daj owoce,
my wypłyniemy po nie z fali
w srebrzyste, ciche noce. —

Drzewo swój okwiat wonny, biały,
swoje wiosenne pąki
rzuciło w morze — i wydało
czarne i suche strąki.

NADCZŁOWIEK.

Przystanął i sochą zaprzestał pruć skibę
I rzucił wzrok orli na niską siedzibę:
— Nie grożą mi ostre topory, ni lochy,
A jam, jak niewolnik, sam wprzągł się do sochy.
Po zdobycz mej głowy dłoń obca nie sięgła,
Mnie miłość zjarzmiła — jak jeńca mnie wprzęgła.
I choć z szybkożłonnych gemz skalnych jam rodu,
Na niżach żyć muszę, by nie czuł ktoś głodu.
Chcę wolno mknąć w stepy, jak mknie antylopa,
Niech szczytów urwistych dosięgnie ma stopa.
I wirchy, i stepy w moc moją zagarnę,
I będę potężnym — niech ginie co marne.
Niech sochą kieruje rodziców dłoń starca,
Niech naręcz dREW ciężkich kark siostry obarcza
I niech się wypręży na łuku cięciwa,
Grot wroga dziecinną pierś brata przeszywa.
Niech ginie, co słabe, co drogę zagraджа,
Tam, w dal, gdzie jest rozkosz i siła i władza.
Chcę w świat, tylko miłość mnie trzyma w dolinie,
Co drogę na wyże mi grodzi — niech ginie.

Sam będę — w wichrowe się wsłucham poświsty
I wpatrzę w widnokrąg płonący i krwisty —
I czynem szalonym, swobodą i mocą
W krwi stłumię przestrachy, co tętnią, łomocą
I w mózgu dręczącym wołają wyrzutem.
Hej! Naprzód! W świat jasny! Maczugi mej rzutem
Każdego, kto stanie na drodze, zdruzgocę —
Hej — w świat, gdzie przedziwne, zakłete śpią moce! —
I poszedł. A za nim przez dale, przez noce
Szły kłatwy deptanych i żale sieroce.

W SREBRNĄ NOC.

Błękitne zmierzchy, jak woale,
padają lekkie, nieuchwytne
na drzewa, śniące ociężale
pod fantastyczną szronów bielą,
po dachach wiją się i ścielą,
wieżycy stroją w swe festony,
ukołysały ciszą dzwony,
płyną, jak zadum śpiewne fale,
zmierzchy rozwiewne i błękitne.

Idę zamarzeń cichych drogą
przez szlak niewidny, szlak niebieski,
utorowany w tłumie rojnym.
Cień się wślizguje w bramy, ganki,
mróz zdobi szyby w arabeski,
mkną niesłyszalnie, szybko sanki
i skrzypi zmarzły śnieg pod nogą,
a miasto rytmem nieukojnym
dyszy i wre, pookręcane
w czerwone węże latarniane.

Zbudził się szafir wielooki,
zbudził się, rozwarł swe powieki,
i srebrne oczy cicho mruży.
Idę wciąż dalej w stronę rzeki,
i wciąż samotniej dzwonią kroki...
Piję z upojen jasnych kruży,
z szczęścia krynicy, która tryszcze
w najtajemniejszej ducha głębi...
O, tam niejedno smutne zgliszcze,
i feniksowy gmach odrodzin,
spokój bezgrzeszny i gołębi,
krzyk buntowniczy, bezwład sztywny,
godzin wschodzących, zmarłych godzin
aromat tajny i przedziwny.

Wstają przede mną cichą nocą
baśnie zakłète i miraże,
i wszystko cudem, na co patrzę
przez barwne marzeń mych witraże.
I olbrzymię młodą mocą,
rozszerzam ducha w bezgranicze,
piękno nieznane, zaświatowe
pochyla ku mnie swe oblicze.
Wstaję prorokiem, twórcą, wieszczem,
i stwarzam słowa wielkie, nowe,
i czyste, czyste — z szczęścia dreszczem —
kwiecie zakwita mi łąkowe,
mnie wybujały harde cedry...

Idę nadbrzeżem do katedry,
aby w wieżyczki jej strzeliste

i w jej gotyckie ostrołuki
zakłąć tęsknoty płomieniste,
i wpleść westchnienia bezdechowe
w każdą różycę i ornament,
w lekkie liściaste kapitele,
fryzy misterne, koronkowe.
Po piękna zbliżam się sakrament,
i stoję oto przy portalu.
Wydzwania ciche, drżące trele
blask srebrny gwiazdy, blask opalu...
Ciszą się stroję, jak ornatem,
sięgam po hostyę wyanieleń,
i po zachwyty wino mszalne,
i kornie łączę się z Wszechświatem...
Jaśnieją nimby idealne,
wszystko się staje srebrnym cudem...

Co tam? przy drzwiach rzeźbionych kupa
cuchnących szmat, przesiąkniętych brudem?
Kto piękno tumu tak znieważa?!
Co to? to dłoń — dłoń sztywna trupa...
Powionął mroźny wiatr z wybrzeża...
Uchyłam szmat — z nich się wyszczerza
zsiniała straszna twarz nędzarza...

BRZASK.

Przez mętne szyby świt przesiewa
zbląkany, blady, anemiczny promień —
w izdebce brudno — chłód —
zabrakło dawno drzewa...
Od dzisiaj — głód...

Po nocy oszołomień
tam ona śpi — I patrzę obudzony
na sine żyłki jej zwieszanej ręki...
I wiem — już dziś całunek mój szalony
nie uśpi ciała długotrwałej męki.
Nasza izdebka — zapomniana
bezludna wyspa wśród czerwonych murów,
na szarem tle chmurnego rana
wyłania nagość swych konturów.
Wapienny tynk przeżarły pleśnią,
kąty pajaka zasnuł trud...
Zbudziłem się zawczasie —
Od dzisiaj — głód...

Brzask smutny wpływa w szyby mętne —
wozy na bruku skrzypią tak boleśnie —
Jak wąż w zawojach mglistych plut
pragnienie wślizgnie się natrętne...
Od dzisiaj — głód...

DNI POGODY

W ZATOCE.

W zatoce lekko pluszcze fala błękitnawa...
Dokoła stoją senne, zadumane skały.
Gdzieś tam grube liście rozkłada agawa,
czasami w oddaleniu mignie żagiel biały...
Nade mną szafir nieba ciemny, jednolity,
miękki kobierzec piasku moich stóp nie rani...
Dobrze tu. Chcę zapomnieć cały ból przeżyty
w cichej przystani.

Nad wodami zatoki leci biała mewa,
unosząc się ku słońcu. Ja zrywam się za nią
do ciepła, które zwolna skrzepłą pierś rozgrzewa...
Skąpię się w blaskach słońca, zwisnę pod otchłania
niezmierzonych błękitów. Czasem na mej twarzy
czuję muśnięcie wiatru. Wszystko, co mnie rani,
rozpułyło się w ciszy — duch o szczęściu marzy
w cichej przystani.

NAD MORZEM.

1.

A wiesz ty, morze, dzisiaj senne,
nieukojone, wiecznie zmienne,
jakie są w piersiach ludzkich rany,
jakie poszumy i orkany?
Jaka tam biegnie w dal tęsknica,
jak żądza łzami się nasycza?
Jak się zrywają struny klęte,
torturą życia wyciągnięte?
Jak myśl się wspina i w dół stacza
i w bezsilności swej rozpacza?
Jak wszystko kruszy się i łamie,
jak życie zwodzi, życie kłamie?
Wszystkie tęsknoty niewyłkane,
jedną olbrzymią ziemi ranę,
przynosząc tobie, morze zmienne,
kładę na głębie twe bezdenne,
niech je twe białe, szumne fale
w nieogarnione niosą dale.

11.

Mów do mnie, bezbrzeżne morze!

Ja pełną wypilem czarę
dobra i zła,
czarę goryczy i nędzy,
i wśród życiowej przędzy
różnobarwnego tła
szukałem nici poznania,
czem dobro, a czym zło.
I przekroczyłem granice,
znaczone przez praw tablice
kamienne, zapleśniałe...

Mów do mnie, bezbrzeżne morze!

Mówcie wy, fale białe,
szumem śnieżystych czół...
Ta sama fala się wznosi,
ta sama opada w dół,
ginąc w bezkresie bez śladu...
Jak znaleźć linię graniczną
między wznoszenia się chwilą
i między chwilą opadu?
Wszystko jest morza błękitem
i jego pieśnią rytmiczną.

Mów do mnie, bezbrzeżne morze!

Nizina staje się szczytem
w szeregu zmian,
niema stężalej granicy
wśród twoich pian.
Rozdział bolesny, łamiący
gubi się w twym przestworze...
Pojmuję okrzyk twój grzmiący
i wiem już, wiem, o morze,
że niema dobra i zła,
tylko twój ruch wiekuisty,
nieukojona fal gra...

Mów do mnie, bezbrzeżne morze!

Rzeka, olbrzymia rzeka płynie, drga, połyska...
Obszar łąk z jednej strony bierze ją w ramiona,
z drugiej — mur wzgórz piaszczystą ławicą ją ściska.
Spokojnie, równo dyszy głębia roziskrzona.

Czasami biała czajka skrzydłem wodę muśnie,
czasami statek przetnie, rozkołysze fale,
lecz sina dal go porwie — i rzeka znów uśnie,
i popłynie leniwie, szeroko, wspaniale.

Fale w objęcia sobie znów, jak siostry, padną,
złączą się rozłączone i przerwą bieg rączy...
Czemuż więc pośród ludzi nigdy mocą żadną
nikt dwóch serc rozłączonych na nowo nie złączy?

BAJECZKA.

Na baszty zamku i na mury
cień czarnych borów pada...
Tam — w barwny witraż zapatrzona
śni kasztelanka blada.
Śni kasztelanka bladolica
snami nie z tego świata,
nie schodzi w dolin gwar wesoły,
we włosy wstąg nie wplata,
do uczt godowych nie zasiada,
ni wdzięcznej lutni ima,
tylko irysy fioletowe
uwiędłe w dłoni trzyma.
I wre dokoła tysiącgłośnie
rozlewne, młode życie,
a kasztelanka marzy cicha
w żałobnym swym habicie.
Z jej twarzy wszystką ziemi radość
męczeństwo długie starło,
i ludzie szepczą o niej z cicha,
że duszę ma umarłą.

W samotnej sali pełzną mroki
wśród arkad, pod sklepienie...
Z wonią irysów przed nią wstaje
umarłych dni wspomnienie.
W boru są zioła cudotwórcze,
którymi chorych poją,
a sąż w nim takie zioła, leki,
co pamięć-ranę zgoją?

I przyszedł minstrel, a miał oczy
dziecinne, promieniste,
i przyniósł cudną baśń o ziemi,
i serce młode, czyste.
I klątwa wspomnień się rozwiązała,
jak dźwięk milknącej lutni,
i poszli w dal, by się uśmiechać
do wszystkich, co są smutni.

Z DYALOGÓW O PRZYSZŁOŚCI.

I.

CHORY.

Hart mej woli, siłę myśli
niemoc zgniotła i złamała...
My tak marni — my zawisli
od materyi, musu, ciała!
Daj mi zioła, daj mi leki,
ale przedtem myślą władną
ty przepowiedz dzień daleki,
w którym w końcu z nas opadną
ciała pęta niewolnicze.

WIEDZĄCA.

Przyjdzie, przyjdzie dzień daleki,
moce dziwne, tajemnicze,
upragnione, wyczekane,
będą blizkie, będą znane.
Wtedy cierpień jęk wypłoszą
zapomnieniem i rozkoszą...

Duch w materyi rzeźbi dzieje,
a gdy sam wyolbrzymieje,
to w harmonię doskonałą
stopi z sobą swoje ciało!
Naszym grzechem my boleśni:
nawet ducha przecieleśni
orgia długa i szalona.
Przyjdzie wiedza upragniona,
i umocni, i uzdrowi,
nawet ciało przeduchowi!
Masz tu zioła, masz tu leki,
przyjdzie, przyjdzie dzień daleki!

II.

WIEDZĄCA.

Tyś płynął, a nigdy nie dotarł do brzegu,
obawa, niepewność twą radość wyžarła. —
Przyszedeś się pytać. — I cóż ci dolega?

ŚMIERTELNY.

Ja miałem tu jasność — i jasność umarła.
Ja miałem dzień szczęścia — i dzień ten nie wróci.
Tu pewnem nic nie jest, tu niema ostoji,
i wszystko drży we mnie, i wszystko się boi,
i wszystko się gubi wśród przemian, wśród wiru,
na wszystkim spoczywa cień kiru.

WIEDZĄCA.

I czemże jest życie?

Przemianą i ruchem.

Radośnie się odmień płomiennym wybuchem,

i rwij się w przyszłości błękitne oddale,
ocean nie ginie, choć giną w nim fale!
Pielgrzymuj przez skony, przez kształtów miliony,
hen — wzwyż,
nie tęsknij do ciszy,
i stwarzaj Odmienność —
i wstecz nie popatruj tęskliwie,
a tak wcielisz prawdę, promienną i żywą!

ŚMIERTELNY.

Przez rzeźwą odnowę, przez wszystkie jej stopnie
ja jednak dosięgnę ostatniej rubieży.
Tam noc — bezpowrotna, tam nicość okropnie
swe zęby spróchniałe, szkielece wyszczerzy,
i wszystko drga we mnie z protestu i buntu,
że bramą mi będzie piędź gruntu,
że przy niej wartują już rozkład i gnienie,
że moja świadomość utonie w niebycie...
Czyż niemym akordem mam tylko być w śpiewie
i prochem, co zgoła o sobie nic nie wie?
Strach chrypi obłądnie — i modłę się chwili,
co ku mnie się zbliża z zakrytem obliczem:
niech wszelką srogością twój cios się wysili,
niech będę choć pyłkiem, myślącym świadomie,
lecz tylko nie pozwól być niczem!

WIEDZĄCA.

Nie możesz być niczem w wszechświata ogromie,
nie wyjdiesz za jego granice.
Twe myśli — pątnice

zostaną, trzepocząc skrzydłami, w przestworze,
a z ciebie się kształty wciąż nowe wyłonią:
to wejdiesz traw kiścią na czarnym ugorze,
to lśniącym owadem wylecisz ku słońcu;
to znowu wypełniesz z pod ziemi dżdżownicą,
to glebę zasilisz, podziemne jej żyły,
gdzie klęte, nieznane gromadzą się siły.
Świadomość twa skona — i znowu wybłyśnie —
a byt nieświadomy, to jedna jest tylko
z tych form, które kryje wszechświata skarbnica,
jest słodką rozkoszą, jest szczęściem bez granic
po drodze zawrotnej, wśród twardych krzesanic.
Utracić tę pamięć, co jedną jest raną,
roztopić się znowu w promiennym prabycie,
czyż to nie jest — życie?
Ty jesteś w ogromie — a ogrom jest w tobie,
i lilia odrodzeń zakwita na grobie...

ŚMIERTELNY.

Utracić tę pamięć, co jedną jest raną,
roztopić się znowu w promiennym prabycie,
czyż to nie jest — życie?

WIEDZĄCA.

Ty cichą słoneczność
rozniecaj w twej piersi, a znajdziesz w niej Wieczność!

III.

WIEDZĄCA.

Twe czoło godziny myślenia rzeźbiły,
i jakieś potworne rozpacz.

MYŚLICIEL.

Przynoszę ci myśli tułacze,
co, pnąc się, o skały skroń dumną rozbiły,
bo chciały z wyżyny zaglądać w otchłanie,
a otchłan milczała —
i myśl ma skołała,
nie mogąc rozwiązać zagadki istnienia.

WIEDZĄCA.

Bo myśl twa dopiero, gdy nimbem z płomienia
uwieńczysz ją, mocy nabiera.
Myślenie — to orka pod zasiew objawień.
Ty w chwili zachwyty, ty w chwili ekstazy
zdobędziesz tę prawdę, przed którą wyrazy
bezsilne, imieniem jej nie śmia pokalać.
Zaprzestań obalać,
a zacznij budować — w skończonej budowie
na wszystko ci twórcza radość odpowie!

IV.

WIEDZĄCA.

Ty cierpisz, ty się krwawisz,
rwiesz się, porywasz wzwyż...

ODKUPICIEL.

Łka we mnie jeden klawisz —
odwiecznej krzywdy ton...
Ja wziętem na ramiona
odpowiedzialność — krzyż —
przebywam każdy skon,
każdym się bólem krwawię.

Ach! lepiej na Golgocie
zawisnąć raz na ćwieku,
niż stać we łzach, w tęsknocie
na cudzej trumny wieku...
Nie dana mi jest władza
wyżenać mękę precz,
więc litość ma wprowadza
do rezygnacyi cisz —
i uczę dźwigać ból...

WIEDZĄCA.

Rzuć odkupienia krzyż,
imaj zbawienia miecz,
i z krzywdy ziemię zwól,
świat krwią ciemiężców zlec!

ODKUPICIEL.

Krwia własną, cudzą krwią
uleczę ziemię z mąk.
Przez tych, co walcząc mra,
świat w końcu będzie zbawion.
Przyjmuję miecz z twych rąk,
niech będzie błogosławion!

V.

PRAGNĄCY.

We mnie, jak morze, zawodzą
wiecznej tęsknoty poszumy,
we mnie bez końca szaleją
straszne, palące samumy.

Idę w bezwodnej pustyni,
pragnieniem w oddale gnany,
a przed mym wzrokiem powstają
pałace Fata-Morgany.

W strasznej tęsknocie i męce
wyciągam ku wizyi dłonie,
i coś aż piersi rozrywa,
a głowa boli i płonie.
Próżno zrywają się pragnień
nieuciszone orkany...
Wciąż giną w mgle oddalenia
pałace Fata-Morgany.

Lecz wiem, że, gdyby pałace
w tej niebieskawej sręczodze
wtem, dotykalne i żywe,
stanęły na mojej drodze,
i gdybym wstąpił do wnętrza
przez wonny ogród różany,
z krużganku ujrzałbym nowe
pałace Fata-Morgany.

WIEDZĄCA.

Niech będzie błogosławiona
trawiąca męka pragnienia,
bo ona piersi rozszerza,
bo ona myśl rozpłomienia.
Choś nieuchwytny, rozwiewne —
znużony wzrok karawany

pokrzepią wizye niebieskie —
pałace Fata-Morgany.

Tyś nieziszczalnem bogaty:
nie znają granic twe szlaki,
nigdy w bezruchu nie gasną
twych snów gwieździste orszaki.
Ty, pragnąc bez końca, stwarzasz
eden przyszłości nieznany,
cudniejszy, niżeli wszystkie
pałace Fata-Morgany.

Czyż jeszcze nazwiesz ułudą
tęczowy miraż przyszłości,
gdy jako prawda niezłomna,
w twojej mocnej piersi zagości?
Męcz się, pożądaj i stwarzaj,
tęsknicą bezbrzeżną gnany...
Niech będą błogosławione
pałace Fata-Morgany.

VI.

WIEDZĄCA.

Chodź, przybliź się do mnie bez trwogi,
siostrzyczko spłoniona, uroczą,
i weź mój całunek na czoło
i lilię w uploty warkocza!

GRZESZNA.

Ja boję się bieli liliowej,
tyś czysta — ja ciebie się boję...

WIEDZĄCA.

Pójdź do mnie — ramieniem cię wesprę,
jak biedne, złamane powoje.
Mów, mów mi ze skargą i płaczem:
w płomieniach, w bezwładzie tyś drżała?

GRZESZNA.

W twych oczach jest moc, co rozgrzesza,
ty jasna, ty czysta, ty biała!
Rzuciłam się w otchłań zapomnień,
w płomieniach, w bezwładzie jam drżała!

WIEDZĄCA.

I były ramiona szalone,
i usta pojące, jak wino?

GRZESZNA.

Mnie w zamęt rwał potok spieniony,
mnie rozkosz przykryła lawiną.

WIEDZĄCA.

I szczęścia mieniąca się fala
szumiała, wciąż wyższa i prędsza,
i w szczęściu ty byłaś bezgrzeszna,
ta chwila — to twoja najświętsza.

GRZESZNA.

To moja najświętsza — ta chwila,
gdy ciało święciło swe gody.
Lecz teraz, splamiona, nie czuję

już ducha niebieskiej pogody
i ciała zwycięstwo przeklinam.

WIEDZĄCA.

Wspominaj i teraz z uśmiechem
tę chwilę, co była ci święta.

GRZESZNA.

Cóż tedy, cóż tedy jest grzechem?

WIEDZĄCA.

Nie rozkosz wiosenna i młoda,
nie we krwi muzyka namiętna,
lecz z tobą w twej duszy niezgoda,
jak struga leniwa i mętna
zatopi, zamroczy bezwolą.
Radości, jak grzech, cię zaboła.
Już żegnaj, siostrzyczko uroczą,
i weź mój całunek na czoło,
i lilie w uploty warkocza.

O ŚWICIE.

Z dusznego łoża, ze snu grzechu,
zrywam się drżący i pobladły.
Chcę tchnień rzeźwiących. Brak oddechu.
Łzy — cudze, własne — w pierś zapadły.
Idę przez salę: wielka, pusta,
fortepian śni, zaklęty w ciszę,
i przez otwarte czarne usta
wyszczerza ku mnie swe klawisze,
i kryształowe żyrandole
w smudze księżycy drżą, migocą,
przybrane w srebrnych lśnień okole,
po kątach karty złe chychocą.
Ciemnieją, wklęsłe w ram kwadraty,
wśród ścian obrazy dwa olejne,
niby czarnego sukna płaty,
po ścianach chodzą cienie chwiejne,
niby ruchome kręgi, słupy —
dwóch marmurowych bóstw postacie
wśród egzotycznych roślin grupy,
bieleją w cichym majestacie.

Staję przy tafli zwierciadlanej
okna, przy tafli gładkiej, lśniącej,
w srebrnej poświacie wykapaniej,
słucham uderzeń krwi tętniącej...
Serce się ściska i zamiera,
drży nieukoju dziwną męką.
Okno na ścieżaj się otwiera,
popchnięte słabą, drżącą ręką.
Oddycham wonią balsamiczną,
witam się z ciszą — czarem — nocą —
i wchłaniam śpiewność jej rytmiczną,
jej utajoną żyję mocą.
Zapach jaśminu wciągam w płuca,
co, pomieszany z rosą świeżą,
jakiś zamarty sen ocuca
za świadomości mej rubieżą.
Przez posrebrzoną mleczną drogę,
poprzez dalekich gwiazd jaśnienie,
spłynię na dusznych żądz pożogę
cud, jasna zjawą, objawienie.
Wszystko zagasłe znów zapała,
wyolbrzymieje — karłowate,
skroń znów ozdobi lilia biała,
na barki włożę białą szatę,
i w cichej glorii zakróluję
nad bezmiarami, siną dałą,
którą moc w tysiąc słońc haftuje,
gdzie źródła ekstaz się kryształą.
Przyjdź, zjawo, w cudnych barw otęczy,
na twój sakrament, nieomylna,

czekając, chory ciężko klęczy,
przyjdź, o Miłości! wielka, silna!
Daj przebaczenie, uzdrowienie,
ku mnie w jasności spłyni powodzi...

Noc letnia mija, nikną cienie,
słońce nowego życia wschodzi...

ŻYJĘ!

W chłodnym, stalowym, równym harcie
niema ukoju i zbawienia,
jedyna siła i oparcie
w jaśni, co z dusz się wypromienia.
W płaszczy promienisty, złototkanny
przetwarzam gęsty welon mroku,
i duch ma wichru dech orkanny,
i nieuchwytność ma obłoku.
Oto się przeciw męce grodzi,
zaczarowuje od zatury,
w złotych, słonecznych skier powodzi
topnieje męka, nikną kraty.
Wyolbrzymieniem i rozkwitem
duch cały ból na jaśń przekuwa,
jest wszędzie, zlewa się z błękitem,
suknie cielesne z siebie zzuwa.
Oto mnie krzepi i odradza
spokój bezgrzeszny i słoneczny,
niczem mi nawet śmierci władza,
bom nieśmiertelny, bom ja wieczny.

I wzięto ciało me w obcęgi,
i na kawały je szarpano,
a źródło mojej wszechpotęgi
wciąż bije strugą zwierciadlaną.
Wrzucono ciało moje w płomień,
tysiąc żmij krwawych po mnie płąsa —
nie wyrwie z rajskich oszołomień
żar, co mnie wściekłem żądnem kąsa.
Szczerbię, krwawe szczątki wloką,
na pień, pod miecz mi kładą szyję,
a głowa, tryszcząc z żył posoką,
jasnym uśmiechem woła: żyję!

OBUDZENIE.

Otwieram źrenice
i na czarny podnoszę je krzyż,
co nade mną wyciąga ramiona,
i bolesny skurcz chwyta mi serce,
i zaziemskie trzepoczą tęsknice,
i na skroń moją z ramion tych spływa
cały ziemi tej ból,
i ku smutnym ma litość się zrywa
z mej pustelni, z samotnych mych cisz...
O, wyryty głęboko mam w sercu
czarny krzyż...

I zwracam me oczy
na zwieszoną nad twardem mem łóżem
symbol — łódź:
— wszystko kona i wszystko przemija!
taki krzyk łka nad życia bezdrożem,
łka — naprożno,
nie uciszyć go czynem stalowym,
ni litością jałmużną.

Wszędzie zamęt i sprzeczność,
wszystko kona i wszystko przemija —
oto w łodzi łabędziej
odpłynęła słoneczność...

A z otchłani męczarni
wypromienia się jasność,
i okala stygmaty,
i po skurczu bolesnym
wszechpotęgą rozszerza się serce,
cichą wolą objaty
całe światy ogarnia,
i zamiera męczarnia,
i przeradza się w cichą słoneczność,
i wciąż głośniej odzywa się we mnie
nieskończoność i wieczność.

EKSTAZA.

Źródło najczystszych wyanieleń,
źródło rajskiego zachwycenia...

Przedemną cudnych sadów zieleń,
złoto owoców je spłomienia.

Wokoło mnie szafiru ścieżka,
na nią spadają lilii deszcze...

Tu oto szczęście wieczne mieszka,
tu oto ekstaz słodkie dreszcze.

Ja idę, płynę wśród szafiru,
tkwi we mnie potęgę złota lanca

i od zenitu do nadiru
przestwórmelodyąrozbrylanca.

Niema grzechowej we mnie skazy,
cicho dzwoneczki srebrne dzwonią...

Wśród nieskończonych cisz oazy
poję się wieczną sfer harmonią.

Szczęście, o, szczęście we mnie śpiewa,
to niezgłębione, to bezbrzeżne...

W szafirze lilii dżdży ulewa —
kłonią się ku mnie skrzydła śnieżne...

Długo cierpiałem. Piers mi naboląta...
Na niebie cisza błękitna, wiośniana...
Niech raz odetchnę wolno i głęboko,
niech się na chwilę zamknie pamięć-rana!

Chcę roztopienia w szafirowej ciszy,
chcę burzy światła, złotych oszołomień...
Oto, jak długo upragniona łaska,
w zmęczoną duszę schodzi jasny promień.

Błogosławieństwo przesłodka narkozy...

Dobrze wam stulić przeczulone liście,
wy, poranione, cierpiące mimozy,
marząc, że chwila przetrwa wiekuiście,

i przed obliczem niepojętej grozy,
ukryć się w głębi cudownej oazy,
której nie straszne wichury i mrozy,

gdzie bije źródło kryształne ekstazy.

Dobrze zmęczonym oczom mocą złudu
omszyć szmaragdem nagie, szare głązy,
i cicho przeżyć w śnie godzinę cudu,

gojącą rany, ścierającą skazy.

Dobrze jest w jasnym zapamiętań szale,
potargać bólów nadludzkich powrozy,
i w upojenia zatonać chorale...

Błogosławieństwo przesłodka narkozy.

Błogosławieństwo rozmodlonej ciszy...

O zejdź na moje skronie rozpalone,
o zejdź na mięśnie wysiłem przekrwione,

falą kojących, upojnych haszyszy.

Zejdź w boleściwą otchłań udręczenia,
spłyn w krzyk rozpaczny o chwilę wytchnienia,

któremu pomruk szydny towarzyszy.

Zejdź w orkan pracy dniem wielkiego święta,
i niech się stanie jasność wniebowzięta,

błogosławieństwo rozmodlonej ciszy.

CZEREMCHY KWITNĄ...

Czeremchy kwitną
na brzegu rzeczki w głębokim jarze...
Nad moją głową cicho, błękitno,
ważki się snują w rannym oparze.
Wchłaniając mocne kwiatowe tchnienia,
zmysły mam senne od upojenia.

Od upojenia senne mam zmysły...
Niby ramiona, nade mną zwisły
wiotkie gałązki, na skroń mi kładą
dłoń woniejącą, dłoń aksamitną,
i oblewają kwieciami kaskadą...

Czeremchy kwitną...

SOSNA.

Na turnicy niebosiężnej wzrasta
karłowata, pokurczona sosna,
i ze skrzypem modli się, by mogła
wzwyż wybujać silna i radosna.
Cicho prosi sosna karłowata
o potęgę gór zielone garby,
i o świeżą krasę perły rośne,
by się odziać w piękna wszystkie skarby,
i w wiosennej glorii odrodzenia
powstać młodej mocy wielkoludem,
i zachwycić zgasłe we łzach oczy,
opromienić szare głązy cudem.
Sokom ziemnym modli się, by mogła
płaszcz naodziać szmaragdowy, gęsty...
Czeka, słysząc w wichrze płacz jej cichy,
i gałązek jej łamanych chrzęsty.
Nad turnicą rozszalała burza,
krwawe nici wprzędła w czarne krosna
nocnych niebios — wicher uderzył z gromem
i upadła rozplakana sosna.

A z wykretem jej wydarty ziemi
błysnął skarb na mchów postaniu rudem,
i zachwycił zgasłe we łzach oczy,
opromienił szare głazy cudem.

Idę w słońcu... Mknie chmara gołębia
W bezmiar, wzwyż... Drży igliwie na sośnie,
Szafirowa, przepastna łśni głębia
I aż ku mnie się zniża miłośnie...

Idę w słońcu... Promienna kaskada
W złototkane owija mnie płaszcze —
Deszcz jaśminu na głowę mi spada,
W sen zapomnień woniami mnie głaszcze...

Idę w słońcu... I męka zamiera...
Haft się snuje kwiecisty w pól krośnie...
Szafir głęb przepaścistą otwiera,
I aż ku mnie się zniża miłośnie...

Poniosę w gór milczenie,
w ciszę słonecznych hal
mą krzywdę bezlitosną,
mój bezgraniczny żal.
I niech się tam rozplynie
wśród kryształowych ech
goryczy i niewiary
zły, przemądrzały śmiech.

»IM«

NIE WIERZCIE MI...

Nie wierzcie mi, że twarz mam taką jasną,
nie wierzcie mi, żem cichej pracy wierna —
ja jestem bunt, przed którym słońca gasną,
ja jestem szal, tęsknota jam bezmierna.

Nie wierzcie mi — jam dla was taka cicha,
mnie skuł wasz ból, mnie litość wyaniela,
lecz w głębi — tam — wulkanem pierś oddycha,
tam huczy wicher, piorunów grzmi kapela.

Nie wierzcie mi — bo wróżka jam zaklęta,
podjęłam trud — by w nim się zapamiętać,
bo ja mam moc nie tylko zrywać pęta,
mam także moc, by samą siebie spętać.

Nie wierzcie mi — służebna — jestem wolną,
ja mogę znów rozszaleć w huragany,
mnie litość gna w tę pracę, w tę padolną,
lecz żywioł jam, choć żywioł już spętany.

Chcesz-li dokoła widzieć ludzkie serca
 korne, oddane?
Bądź jako chłodny, bezduszny szyderca,
 jątrzą bez litości ich ranę.
A kiedy od nich odejdiesz z pogardą
 w turnic srężogi,
gdy ich odepchniesz dłonią złą i twardą —
 oni ci przyjdą do nogi.
A kiedy kryjąc przed nimi pierś krwawą,
 pluniesz im w oczy —
tłum z niewolniczą, zachwyconą wrzawą
 ciebie, mocarza, otoczy.
Tylko nie dawaj słodczy gołębi
 sercom w popiele,
tylko nie otwórz nikomu swych głębi,
 tylko nie kochaj za wiele!

Wyście w chwilach agonii na me usta otwarte
położyli pieczęcie, wyście słowa się bali,
które we mnie gorzało, niby piętno niestarte, —
wyście lilię wziąć chcieli rękawicą ze stali.

Wyście w chwilach rozpaczysz szukające me dłonie
odtrącili surowo, tak surowo i twardo,
choć pode mną szumiały straszne wiry i tonie,
choć konało w szaleństwie serce skłute pogardą.

I opadły me dłonie, oniemiały me usta,
wicher wieczności mnie szarpie, bije we mnie grom
[chwili,
i ja nie wiem, dlaczego pierś ma chora i pusta,
i ja nie wiem, dlaczego wyście duszę zabili?

Upadałem, cierpiałem — i nie mogłem zapłakać,
mnie przygniotła tęsknota bezmierna.
I błagałem: choć jeden krzew niech głowę ocieni,
niech ukaze się jedna cysterna.

I błagałem: niech z wielu, wielu znanych mi ludzi
jeden przyjdzie w rozpacz godzinie,
i na ranie mej dłonie współczujące położy,
skrzydło-miłość nade mną rozwinie.

I choć jeden niech pojmie jasnowidzeń potęgą,
żem ja słaby i smutny ogromnie.
Ja wzywałem, czekałem — i krwawiłem się w bólu,
a nie przyszedł, nie przyszedł nikt do mnie.

I ja czekać przestałem — i poznałem, jak wiele
zamiast pszczoł miodonośnych jest trutni,
i poszedłem z miłością bezgraniczną, ofiarną
ku tym, którzy są słabi i smutni.

Nie będę czciła waszego Baala —
Odtrącę od ust mdłe litości miody,
Niechaj mnie wlecze w toń nawalna fala,
Drwię z burz — przeklinam błękitność pogody.

Waszych trosk sepia do mnie zbyt przywarła,
Waszych praw trąba stępiła me ucho,
Wśród was, o żywe trupy, jam umarła,
Lecz zmartwychwstanę — buntu zawieruchą.

Lecz się podźwignę — krwawych łun zarzewiem,
Lecz się odezwę — głuchym przekleństw gromem,
Wstrząsnę przed wami wnętrza zdartem trzewiem,
Plwnę w was tajonych upokorzeń sromem.

Prawa — ha, prawa! Świetne, złote cielce —
O hańbo! gięłam przed niemi me skronie.
I wysączyłam moc z żył po kropelce,
Mózg spowinęłam w dusznych mgieł oponie.

Ha! moc się budzi! Moc, co znienawidza,
Silne, ożywcze, cyklonowe tchnienie,

Znowu w aktora przedzierzgnę się z widza —
znowu pohulać na szerokiej scenie!

Podniosę głowę — czołgałam się chytrze —
Teraz bój — straszny — lwia najeżę grzywę,
Porwę wam struny na przesłodkiej cytrze,
Rykiem wam przerwę melodye senliwie.

Ja żywioł jestem, wtłoczony w okowy,
Tama się zrywa — zawał tam się zrywa —
Zhuragałam się w jaśń — płoszę sowy —
Rznie im blask oczy — prężna ma cięciwa.

W zgrzytliwe widma tysiąc strzał wypuszcza,
Jak cielsko gadu, senna, połyskliwa,
U stóp mych mrowi się, przewala tłuszcz —
Drgnął grzmot podziemny — pierzcha... Jeszczem
[żywa!!!]

W miłości dusza ma rozkwita...

Ku tym, co ranią mnie i depczą,
na mnie potępień kładą piętno,
na mnie żrenicą patrzą ślepczą —
idę, przybrana w biel odświętną,

w myrre zapomnień upowita.

Ku tym, co, pyszni w swej niewiedzy,
niezrozumieniem mnie kaleczą,
dla łanów kłóśnych pragną między,
najgłębszej prawdzie mojej przeczą,

płynę, jak nurt, co rwie koryta.

Ku tym, co chwastem są i zielem,
i co po moc się do mnie garną,
spływam ze szczęściem i weselem,
z miłością cichą i ofiarną,

jak smuga jaśni złotolita.

Ku tym, co mnie miłością poją,
idę oddana, wierna, cicha,
daję w komunii duszę moją —
hostyę z najczystszych snów kielicha...

W miłości dusza ma rozkwita...

CHWILE

II.

Pokój w dębowe, ciemne boazerye
pełen jest ciszy w słoneczne południe.
W drzwiach aksamitne, wzorzyste draperye
splot ciemnych kwiatów naśladową złudnie.

Patrzę na dziwne, zawite ich wzory,
i w nieprzerwaną wsłuchuję się ciszę...
Jestem bezwładny, jestem bardzo chory...
W bezświadości słodki sen kołyszę

mnie barw przyćmionych harmonijna gama,
błysków południa przetykana złotem...
Na ścianach błądzi, drży słoneczna plama...
Bawię się srebrnych puharów migotem,

wyglądających z rzeźbionych zakrętów
starożytnego kredensu — i badam
okiem w suficie kształty ornamentów,
o gżemsie z liści dziwną baśń układam.

Za oknem lśni się taras zaśnieżony...
Tam, na ulicach, gdzie się kończy krata
ogrodu, życia brzmia zgiełkliwe tony,
lecz do mnie żaden tutaj nie dolata.

W ciche, słoneczne południe zimowe
myśl moja wraca z nadotchłannej drogi.
Przymykam oczy i pochylam głowę
w bezświadości zapamiętań błogiej.

Lecz znów mi pamięć wraca nastrój zmienny,
a z nią udrękę, ból oczekiwania...
Cisza — i tylko duży zegar ścienny
godziny tęsknot powoli wydzwania.

III.

Czy pamiętasz — w cienistej alei
nas smagały poświsty wichrowe,
i spadały z posępnym szelestem
nam na skroń ciężkie krople deszczowe...

I spadały z posępnym szelestem
krople ciężkie rozpaczą nabrzmiąte,
brzozy stały stężałe od zgrozy,
dreszcz tęsknoty przebiegał pnie białe.

Czy pamiętasz — w cienistej alei
białokore chyliły się brzozy...
Skuł nas, zaklął w bezwładne marzenie
powiew złej, nieodpartej hypnozy.

Skuł nas, zaklął w bezwładne marzenie
swą hypnozą mrok ciemnej alei...
Brzozy drżą, pochylają gałęzie...
Ciężki deszcz szemrze pieśń beznadziei.

IV.

Siedzę w cichym pokoju — ukojona, umarła,
patrzę w ciemność przez szyby, w żałobnicze we-
[lony...
Z mego biurka drwi w śmiechu wykrzywiona twarz
[karła...

Tam, daleko, na trwogę odezwały się dzwony,
lecz nie budzi się we mnie skamieniała martwica,
i już świt mnie nie woła, łuną pragnień czerwony.

Rozjęczony dzwon upadł i runęła dzwonnica,
a nie budzi się cisza ta surowa, kamienna...
Znikło to, co przygnębia, znikło to, co zachwycą.

Czar magiczny mnie okuł — kłatwa cisz bezimienna,
bujną siłę mą zmoogli — i w złych dłoniach umarła.
Karzeł drwi — idzie długa, chłodna noc — noc
[bezsenna...

V.

Jestem chora i siedzę nieruchomo w fotelu,
a fortepian wciąż płacze —
krzyk rozpaczy łka, jęczy w każdym tonie i trelu.

Przesłaniają mi oczy długie, czarne woale —
o, za dużo już bólu...

Słodkich dźwięków mnie głaszczą, zatapiają mnie
[fale...

Tak mi pierś nabołała, tak zmęczyła się głowa...

Siedzę sztywna i cicha
i przesuwa się po mnie tonów smuga krepowa...

VI.

Chodzę w dużym, wilgotnym, strasznie pustym pokoju,
gdzie po kątach tynk z wapna zazielecił się pleśnią.
chodzę skuty, osnuty delikatnych snów pieśnią,
jako cichy brzęk szklany, jak podziemny szmer źródła.
A za oknem ze skrzypem uginają się drzewa,
chropawością mnie rani pomarszczona ich kora...
Z poczerniałych gałęzi patrzy oko upiora,
beznadziejnie i ciężko dzwoni w szyby ulewa...
Moja dusza jest chora.

Mnie skowały, opłotły delikatnych snów tkanki,
jak podziemny szmer źródła, jako cichy brzęk szklany...
Na bezludny ląd żalu mnie rzuciły orkany,
rzeczywistość daleko, przełamałem jej szranki...
A nade mną łopocze płaszcz kosmaty upiora,
co przyleciał z umarłych, skamieniałych w strach
[dzielnic...

Mgły się snują, jak dymy z czarnych żalu kadzielnic...
Moja dusza jest chora.

VII.

Patrzę z pustej wieżycy przez tęczowe witraże
na wesołe doliny i na bory sosnowe...
Aniołowie z szkieł barwnych chylą ku mnie swe
[twarze
i litośne spojrzenia... Siedzę w pustej wieżycy
i snuję bólu pieśń...

Przez barwiste witraże patrzę z pustej wieżycy,
codzień patrzę, jak zorze umierają w oddali...
A nade mną pochyła smutną twarz jasnolicy
tęczopióry mój anioł... Patrzę w cichy skon zorzy
i snuję bólu pieśń...

VIII.

Za oknem mem w noc ciemną szumią drzewa,
kołacze w dali stróż i skrzypią wrota...
Chrypiący wiatru świst lęk przeczuć wwiewa
i nieprzytomna we mnie łka tęsknota.

I nieprzytomna we mnie łka tęsknota
i krwawem ślepiem łyszcza czarne lęki...
Śni mi się martwych kości pełna grota...
Tężeje ze mną wszystko w skurcz udręki.

Tężeje ze mną wszystko w skurcz udręki...
Gdzieś rzęzi skon, gdzieś ziarno głuszy plewa...
W krzyk potworniej lekkie, nikłe dźwięki...
Za oknem mem w noc ciemną skrzypią drzewa...

IX.

Róże zwiędłe, starcze, anemiczne
kładę słabą ręką na wezgłowie.
Ich nie rosił deszcz, ni łzy kryniczne,
nie całował rzeźwy wiatr w parowie.

Róże zwiędłe, starcze, anemiczne,
w nawpół ciemnej wzrosły gdzieś cieplarni,
śniąc, że dale, dale bezgraniczne
dają dużo światła, świeżej darni.

Róże zwiędłe, starcze, anemiczne
w grobowcową każę kłaść amforę
i zapalić światło mdłe, gromniczne:
niech dogasa w niem me serce chore.

BRYZGI

A gdy Wolność stanęła na progu więzienia,
wśród zgrzytu rdzawych rygli i skrzypu wierzei,
wtedy we mnie już wszystkie umarły pragnienia,
nie wziąłem z celi-trumny ni jednej nadziei.

A gdy Szczęście stanęło przed bramą mej duszy
i w czerń jej uderzyła promienista chwała,
odpowiedział jej pojęk rozpaczliwej głuszy,
bo stróż-miłość za bramą od dawna skonała.

Wiem, że nie zejdzie cud ucieleśniony,
kształt, nieprzytomnie w snach przywoływany,
wiem: nie położy dłoni ukojenie
na włos, wichurą dziką rozsmagany.
Wiem, że bez echa przebrzmi krzyk rozpaczy,
wiem, że nie spłynie cicha jaśń z oddali,
i jestem silny tem, że już nie czekam,
że już mnie pragnień męczarnia nie pali.

On wraca... Świat cały rozbrzmiewa
tą wieścią cudowną, radosną,
a szczęście aż pierś mi zalewa,
a skrzydła u ramion mi rosą.

Nie dałeś mi marzeń i snów lazurowych,
lecz dałeś mi czyny, kowane w granicie,
pisane w wyrazach ognistych, gromowych!
Dziękuję ci, życie!

Nie dałeś mi szczęścia, lecz dałeś wspomnienia,
zgasiłeś me słońce, nim było w zenicie,
włożyłeś w me usta majestat milczenia.
Dziękuję ci, życie!

Ja pragnąłem... Do ust mi podano
puhar mętnej, płołunnej goryczy.
Odrąciłem — nie mogłem... A we mnie
nieprzytomne pragnienie wciąż krzyczy.

Pić! schylono do warg poczerniałych
złoty puchar piennej cykuty...
Wróćcie gorycz — wypiję! Zapóźno:
trzeba sączyć do dna płyn zatruty.

Z KSIĘGI ZBRODNI.

Kazano siklawie kryształnej
obrać tartaki i młyny,
i tamy wzniesiono potokom,
kierując je z turnic w doliny,
i białość przeczystą i śnieżną
splamiono płomiennym karminem,
odjęto podporę powojom,
marzeniu kazano być czynem.

Mój piękny ból, mój wielki ból,
w nim szczytnie dusza kona,
niby draperyi ciężkich zwój,
opływa mi ramiona.

Lecz ja ten płaszcz, szkarłatny płaszcz,
królewskie mąk przepychy
odprzedam, byle chciał kto wziąć,
za szczęścia łachmam lichy.

Ja wiem: nadejdzie wiosna,
słoneczny cud się stanie,
i zejdzie w moją duszę
przezyste miłowanie.



355164

SPIS RZECZY.

RZEŻBY Z LAWY.

	Str.
A kogo ukocham	3
Tak mocno wiem	4
Ma miłość bezbrzeżna	5
Śnieżystem ramieniem opłotę ci szyję	6
Czystszy nad śniegu białość	7
W rozkoszy jasnem mgnieniu	8
Wszystkim gorąco miłowanym	9
A gdyś klękał przede mną	10
Serce mię boli	11
Misteryum miłości	12
Walc płacze	15
O przyjdź!	16
W klasztorze	17
Lohengrin	19
A kiedy bezmiar uśpi moją mękę	21
To było dawniej	23
Twe serce, jak bezkrwawa, bezgłówna ofiara	24
Już tylko przyjacielowi	26
Ty odchodziłeś ode mnie w noc letnią	28
O północnej, bezsennej godzinie	29
Tys mnie zatruć niezdolny	31
Dal woła dobra	32

	Str.
Co noc w gwieździsty patrzyłam strop	33
Bajaderka	34
Mniszka	36
Ust twoich młodych kielich rubinowy	39
Krzyk życia	40
Pieśni o pragnieniu	43

NIETOPERZOWE LOTY.

We mnie jest noc	55
Dwom bogom	58
Kurhan	62
Golgota	65
Klatki	66
Życie	68
Na żer abstrakcyi	69
Jak zima...	71
Bez sił	72
Ākord	74
Pogrzeb	76
Modlitwa o ły	78
Grzech	80
Skazaniec	84
Fantazja panteistyczna	88
Oczekiwanie	92
Sonet	96
Wizya	97
Baśń księżycowa	99
Nadczłowiek	102
W srebrną noc	104
Brzask	107

DNI POGODY.

W zatoce	111
Nad morzem	112
Rzeka	115

	Str.
Bajeczka	116
Z dyalogów o przyszłości	118
O świetle	128
Żyję	131
Obudzenie	133
Ekstaza	135
Długo cierpiąłem	137
Błogosławieństwo przesłodka narkozy...	138
Błogosławieństwo rozmodlonej ciszy...	139
Czeremchy kwitną...	140
Sosna	141
Idę w słońcu...	143
Poniosę w gór milczenie	144

»IM«.

Nie wiercie mi...	147
Chcesz-li dokoła widzieć ludzkie serca	148
Wyście w chwilach agonii	149
Upadałem, cierpiąłem	150
Nie będę cziła waszego Baala	151
W miłości dusza ma rozkwita...	153

CHWILE.

Płyną z klawiszów falami akordy	157
Pokój w dębowe, ciemne boazerye	158
My siedzieliśmy w ciemnej alei	160
Siedzę w cichym pokoju	161
Jestem chora	162
Chodzę w dużym, wilgotnym, strasznie pustym pokoju	163
Patrzę z pustej wieżycy	164
Za oknem mem	165
Róże zwiędłe	166

BRYZGI.

A gdy Wolność stanęła	169
Wiem, że nie zejdzie cud ucieleśniony	170

	Str.
On wraca	171
Nie dałeś mi marzeń	172
Ja pragnąłem....	173
Z księgi zbrodni	174
Mój piękny ból	175
Ja wiem	176